PION

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

ROK III * WARSZAWA * SOBOTA — CENA 50 GR. — 27 KWIETNIA 1935 R. * NUMER 17 (82)

POWROTNA FALA ANALFABETYZMU

Kryzys ekonomiczny nie jest w historji zjawiskiem nowem. Ograniczając się do wieku XIX, wymienić możemy szereg dat: 1815, 1825, 1836—39, 1847, 1857, 1873, 1882, 1890 i 1893, w których kryzys ekonomiczny dał się poważnie we znaki. Niemniej jednak porównywać go z kryzysem obecnym nie można: obejmował on przedewszystkiem pewne tylko kraje lub pewne dziedziny życia, najczęściej handel. I dlatego śmiem twierdzić, że przeżywany przez nas kryzys, który objął wszelkie dziedziny życia, od moralnego począwszy a na ekonomicznem kończąc, jest epoką przejściową w tworzeniu się nowych, nieznanych nam jeszcze dzisiaj, form życia. Kryzys ten objął szerokim zasięgiem i dziedzinę szkolnictwa nietylko krajów europejskich, ale prawie całego świata.

Na sześćdziesiąt państw, które odpowiedziały na ankietę *Bureau International d'Education* [1] trzy tylko, według ich oświadczeń, nie były zmuszone poczynić oszczędności na polu oświaty. Do tych szczęśliwych wyjątków należą: Equador, Hiszpanja i Włochy. Ale i tu głębsze badania rzucą ciekawe światło. Stan oświaty w monarchji hiszpańskiej przedstawiał bardzo smutny obraz. Do dziś dnia ilość analfabetów w państwie hiszpańskiem sięga 50 proc. ogółu ludności. W krajach północnych półwyspu iberyjskiego: Katalonji, Aragonji i prowincjach basko-nawarskich ilość analfabetów sięga 20 proc., na południu natomiast np. w Andaluzji ilość ta dochodzi do 80 proc. Są tam wsie, w których poza księdzem i wójtem nikt pisać nie umie. Istniało wprawdzie w Hiszpanji prawo o przymusowym obowiązku szkolnym, jednakże w czasach monarchji nikt nie zajmował się jego realizacją.

Redakcja znanego dziennika madryckiego *El Sol* wysłała przed trzema laty swego współpracownika do jednego z miast prowincjonalnych, będącego siedzibą biskupa, by zbadał tam stosunki szkolne. Współpracownik znalazł w tem stosunkowo niedużem mieście 30 księży i jednego tylko nauczyciela; gdy chciał obejrzeć szkołę, okazało się, że jest zamknięta, nauczyciel zaś pracuje na swej roli, wyjątkowo z uczniami, ponieważ za 150 pesetów pensji miesięcznej nie może żadną miarą wyżyć. Rodzice chętnie nawet posyłaliby swe dzieci do szkół, niestety, ilość szkół i sił nauczycielskich jest zbyt mała. Wskutek tego niejednokrotnie się zdarza, że młodzież dopiero w 15 roku życia zaczyna naukę elementarną [2]. W południowej Hiszpanji nie było prawie szkół powszechnych, a nauki czytania i pisania udzielali listonosze, rozwożąc listy. I jednym z pierwszych czynów rządu Rzeczypospolitej Hiszpańskiej było zajęcie się szkolnictwem. W tych oczywiście warunkach trudno było redukować szkoły — których nie było, ale równocześnie w świetle tych faktów trudno przyznać Hiszpanji miejsce wyjątkowe i zaliczyć ją do państw szczęśliwych.

Najciężej dotknął kryzys szkolnictwo powszechne. W trzynastu państwach zredukowano szereg szkół powszechnych, a mianowicie w Niemczech, Queenslandzie (Australja), Albercie (Kanada), w Estonji, Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, w czterech prowincjach Indyj, w Nowej Zelandji, Salwadorze, Siamie i Kraju Przylądkowym. W konsekwencji miljony dzieci zostały pozbawione możności najskromniejszej bodaj nauki — czytania i pisania. By obraz ten wystąpił w całej jaskrawości, przypatrzmy się zamknięciu szkół w Stanach Zjednoczonych.

Stany Zjednoczone, jedno z najpotężniejszych państw świata, na 127 miljonów ludności liczy dziś analfabetów razem z powrotnymi 16 i pół miljona [3]. W tych warunkach 2000 szkół powszechnych na wsi zostało zamkniętych, a liczba dzieci, pozbawiona obowiązkowej nauki, wynosi ogółem 2.280.000, z tej zaś liczby tylko 521.000 nie może uczęszczać do szkół w 14 i 15 roku życia [4]. I na tem bynajmniej nie koniec: szereg Stanów stoi przed koniecznością dalszego zamykania szkół. Oczywiście, władze odpowiedzialne za ten stan rzeczy spieszą ze środkami zaradczemi, wprowadzając między inemi szkoły korespondencyjne, lecz są to tylko już nie pół- lecz ćwierćśrodki.

Przeprowadzona przez niektóre państwa, jak Niemcy i Salwador, reorganizacja sieci szkół powszechnych znacznie zwiększyła promień obwodu danej szkoły, co jest równoznaczne ze zniesieniem szeregu szkół. Dodać należy, że nietylko zamykanie szkół uniemożliwia dzieciom korzystanie z nauki elementarnej, lecz również wstrzymanie rozbudowy szkolnictwa w miarę powiększającej się liczby dzieci.

W Holandji wzrosła niepomiernie przeciętna ilość uczniów w klasach szkół powszechnych w roku 1933. Siedm tysięcy klas liczyło 41 — 50 uczniów, 1223 klasy 51 — 60 uczniów, 77 klas 61 — 70 uczniów, 47 klas ponad 70 uczniów [5].

W roku 1932 Komitet Gospodarczy przedstawił angielskiemu ministrowi skarbu sprawozdanie ze swej działalności, przyczem zaproponował zmniejszenie wydatków oświatowych o 114.000.000 funtów. Oszczędności te miały zostać przeprowadzone między innemi kosztem zwiększenia liczby uczniów w klasie [6].

W Wirtembergji 314 klas liczy więcej niż 60 uczniów, 142 klasy 61 — 65 uczniów, 90 klas 66 — 70 uczniów, 42 klasy 71 — 75 uczniów, 21 klas 76 — 80 uczniów i 19 klas ponad 80 uczniów [7]. W innych państwach np. w Polsce brak nowych budynków szkolnych i etatów nauczycielskich powoduje, że około 600.000 dzieci nie może korzystać z nauki w szkole powszechnej.

I jeszcze jeden poważny cios dotknął szkolnictwo powszechne: to skrócenie roku szkolnego, przeprowadzone w wiejskich szkołach powszechnych Węgier i Bułgarji, a w najszerszym zakresie w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, gdzie 715 szkół powszechnych wiejskich skróciło rok szkolny do trzech miesięcy w roku, 804.582 dzieci korzysta z nauki szkolnej tylko przez 4—5 miesięcy, 1.423,582 dzieci przez 6—7 miesięcy, 5.245,092 przez 8 miesięcy, a 15,747,542 dzieci przez 9 miesięcy w roku [8].

Jakkolwiek nigdzie nie zniesiono ani nie skrócono obowiązku szkolnego, niemniej jednak w świetle powyższych cyfr obowiązek ten wydaje się tylko fikcją. A wkońcu wprowadzono nawet opłaty za naukę w szkole powszechnej; narazie opłaty objęły między innemi typami szkół i wyższe klasy szkół powszechnych w Ameryce, gdzie w niektórych miejscowościach opłata sięga 3 dolarów za miesiąc, wprowadzenie zaś opłat w szkołach tego typu zapowiedziała również Australja.

Także i program szkół powszechnych uległ częściowej redukcji. Np. w Ameryce w 36 miastach usunięto z programu szkolnego naukę rysunków, w 28 miastach naukę wychowania fizycznego, w 24 naukę pracy ręcznej, w 22 naukę higjeny, w 19 naukę gospodarstwa domowego, natomiast w ogromnej liczbie miast naukę wyżej wymienionych przedmiotów ograniczono do minimalnej ilości godzin.

Oszczędności, dokonywane drogą redukcji programu szkolnego oraz podniesienia lub wprowadzenia opłat za naukę, dotknęły w o wiele szerszym zakresie szkolnictwo średnie ogólnokształcące i zawodowe, o czem przy omawianiu redukcyj oszczędnościowych w zakresie tych szkół szerzej i dokładniej wspomnę.

By temu stanowi rzeczy choć w części zapobiec, rządy poszczególnych państw poczyniły szereg oszczędności w budownictwie, administracji oraz płacach nauczycieli; chciano w ten sposób uzyskać pewne sumy, pozwalające na zwiększenie etatów nauczycielskich, a najczęściej na utrzymanie dotychczasowego stanu bez uciekania się do zamykania szkół.

Naogół zawieszono prace około wznoszenia nowych budynków, dokonywania adaptacyj, oraz wprowadzono pewien standardowy typ budynków szkolnych. Jednakże pod tym względem możemy wiele wymienić wyjątków; należą do nich: Kolumbja, Danja, Egipt, Francja, trzy prowincje w Indjach, Irlandja, Luksemburg, Holandja, trzy kantony szwajcarskie oraz Ontario w Kanadzie. Natomiast szereg państw wprowadził używanie sal szkolnych na dwie zmiany: Bułgarja, Gdańsk, Finlandja, Węgry, Jugosławja, Polska, Egipt, prowincje centralne Indyj. W tych wypadkach jedna grupa uczniów korzysta z lokalu szkolnego przed południem, druga po południu.

W zakresie administracji szkoły, poza jej zracjonalizowaniem i przeprowadzeniem ścisłej kontroli wydatków, zniesiono na Węgrzech stanowiska kierowników szkół powszechnych. W Bułgarji, o ile szkoła powszechna mieści się w jednym gmachu z progimnazjum, administrację tych szkół sprawuje jeden kierownik. Podwyższono też obowiązkową ilość godzin nauczania kierownikom szkół powszechnych.

W szeregu państw wprowadzono też przymus używania uczniów do robót płatnych porządkowych w szkole. I tak republika Salwador używa uczniów do wszystkich prac związanych ze szkołą, a więc do sprzątania szkoły, utrzymywania ogrodu szkolnego, małych naprawek budynku szkolnego i niektórych prac administracyjnych. Gdańsk używa uczniów do wszystkich wymienionych prac z wyjątkiem sprzątania szkoły. Do sprzątania szkoły używa się nadto uczniów w Bułgarji, Bombaju i w Siamie; a w Niemczech, Bułgarji, Bombaju, Birmanji, Siamie i Kraju Przylądkowym — do prac w ogrodzie. Do drobnych napraw budynków szkolnych używa się uczniów w Niemczech, Bombaju i Kraju Przylądkowym.

Poza szkolnictwem powszechnem poważnej redukcji uległy wydatki na oświatę pozaszkolną. Największe redukcje w tym zakresie zaprowadzono w Australji (2 prowincje) oraz w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, gdzie zniesiono i poważnie ograniczono kursy wieczorowe dla dorosłych. Cały prawie ciężar utrzymania szkolnictwa dokształcającego zawodowego w Niemczech został przerzucony na barki gmin, które, nie mając odpowiednich funduszów, zdecydowały się w tym typie szkolnictwa przeprowadzić daleko idące oszczędności. Np. w Prusach zniesiono obowiązek dokształcania pracowników domowych, zmniejszono liczbę godzin nauczania, obciążono większą pracą nauczycieli oraz ograniczono wydatki rzeczowe. Projekty, wysuwane na konferencji oszczędnościowej krajów niemieckich w r. 1932, posunęły się nawet tak daleko, że chciano obecną szkołę dokształcającą przeobrazić na szkołę niedzielną. Na szczęście projekt ten nie został zrealizowany [9]. Finlandja, Pendżab i Stany Zjednoczone Ameryki Północnej zniosły wogóle kursy oświaty pozaszkolnej. W Danji zredukowano zasiłki dla niektórych kursów uzupełniających i prywatnych. W Rumunji budżet na rzecz oświaty dla dorosłych i kursów uzupełniających uległ również poważnej redukcji.

Nie oszczędził też kryzys szkolnictwa średniego-ogólnokształcącego i szkolnicwa kształcenia nauczycieli. W Rumunji zamknięto 120 szkół średnich i 35 seminarjów nauczycielskich, w Birmanji, Bucharze i Orissie (Indje) zamknięto szereg seminarjów nauczycielskich. Nowa Zelandja zapowiedziała zamknięcie dwu szkół kształcenia nauczycieli, wskutek ograniczenia liczby przyjmowanych uczniów. Estonja zamknęła bardzo wiele szkół średnich i seminarjów nauczycielskich. W Australji Południowej dokonano w pewnych okręgach komasacji szkół bez podniesienia ich stopnia organizacyjnego. W Jugosławji wiele seminarjów i szkół średnich zwinięto w miejscowościach, gdzie ich istnienie, jak stwierdzono, nie było konieczne lub gdzie ewentualnie w sąsiedztwie znajdowała się szkoła analogicznego typu. W szeregu państw przeprowadzono reorganizację sieci szkolnej w ten sposób, że dla pewnego obszaru przewidziano tylko jedną szkołę średnią danego typu.

W szkołach średnich pozatem podniesiono opłaty szkolne w siedemnastu krajach: w Niemczech, Anglji, Austrji, Bułgarji, Danji, Estonji, Finlandji, na Węgrzech, w Norwegji, Polsce, Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, Wiktorji (Australja), Albercie (Kanada), czterech prowincjach Indyj i w Siamie. Szereg państw, w których dotąd szkoły średnie były bezpłatne, wprowadził opłaty; do nich należą: Tasmanja, Kolumbja brytyjska i Jugosławja.

Pozatem wprowadzono opłaty za pobieranie nauki na kursach specjalnych oraz za używanie laboratorjów, basenów, natrysków. Na Węgrzech np. wprowadzono specjalną opłatę za naukę gimnastyki. Zredukowano w szkołach średnich i seminarjach nauczycielskich lekarską pomoc szkolną. Redukcje te sięgały prawie aż do 40 proc.

Podnosząc opłaty za naukę w szkołach średnich i seminarjach nauczycielskich, zredukowano równocześnie stypendja i zapomogi udzielane uczniom. W tym zakresie zaprowadziło oszczędności dwadzieścia pięć państw: Niemcy, cztery prowincje Australji, Belgja, Kolumbja Brytyjska, Szkocja, Egipt, ośm prowincyj Indyj, Węgry, Luksemburg, Norwegja, Nowa Zelandja, Polska, Rumunja i Kraj Przylądkowy. Belgja zniosła zapomogi w szkołach kształcących nauczycieli, Nowa Zelandja w szkołach średnich ogólno-kształcących. W Rumunji liczba stypendjów udzielonych uczniom szkół średnich i seminarjów nauczycielskich spadła z 30.753 w roku 1930 do liczby 4335 w r. 1932.

W szeregu państw młodzież kilku szkół średnich korzysta z tych samych laboratorjów, sal gimnastycznych, boisk i t. d. na zmianę. W tym atoli wypadku wyjaśnić należy, że system taki niekoniecznie musi być wynikiem kryzysu ekonomicznego, gdyż

---

[1] *Les Economies dans la domaine d'Instruction Publique*. Bureau International d'Education, Genewa 1934.

[2] Dr. Feliks Weil w *Schweizer Erziehungs-Rundschau*, 1933, nr. 4.

[3] *School and Society*, nr. 988, vol. 38, 1933. *School Life* nr. 3, vol. XIX, 1933.

[4] *The Deepening Crisis in Education*, Washington 1933.

[5] *Schweizer Erziehungs-Rundschau* 1933, V, nr. 12.

[6] *Journal of Education*, December 1932.

[7] *Schweizer Erziehungs-Rundschau* 1932, V, nr. 9.

[8] *The Deepening Crisis in Education*, Washington 1933.

[9] *Deutsche Handelsschulwarte*, 1933, nr. 6.

bywał stosowany i dawniej, przyczem władze szkolne wychodziły z zapatrywania, że lepiej jest wyposażyć bogato jedno laboratorjum, czy też urządzić jedno wielkie boisko, aniżeli tworzyć szereg laboratorjów gorzej wyposażonych lub drobnych i małych boisk sportowych.

W kilku państwach ze względów oszczędnościowych wprowadzono po zniesieniu średnich szkół żeńskich koedukację. I tak: w Belgji zaprowadzono koedukację w wyższych klasach kilku szkół średnich; Bułgarja wprowadziła koedukację we wszystkich szkołach; we Francji, w miejscowościach, w których zniesiono żeńskie szkoły średnie, poprzydzielano tymczasowo dziewczęta do odpowiednich klas szkół męskich; na Węgrzech wprowadzono również klasy koedukacyjne w szkołach średnich.

Wstrzymanie zakupów książek dla bibljotek szkolnych nastąpiło w Niemczech, w 3 prowincjach Australji, 2 prowincjach Kanady, 10 prowincjach Indyj, w Austrji, Kolumbji, na Węgrzech i w Kraju Przylądkowym. W Belgji w szkołach kształcenia nauczycieli zredukowano budżet, przeznaczony na zakup pomocy naukowych od 50—80 proc.

Nie oszczędził też kryzys i szkolnictwa zawodowego. W Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej zamknięto 1500 szkół i kolegjów handlowych, w Queensland (Australja) zamknięto szkoły gospodarstwa domowego i robót ręcznych.

Niemcy, Anglja, Węgry, Norwegja, Pendżab i Prowincje Centralne Indyj zwiększyły opłaty w szkołach technicznych i zawodowych. Uwagi co do zmniejszenia stypendjów, budownictwa szkolnego, korzystania z laboratorjów, wypowiedziane przy omawianiu stanu szkolnictwa średniego ogólno-kształcącego, dotyczą w równej mierze i szkolnictwa zawodowego.

Najmniej może ucierpiało wskutek kryzysu ekonomicznego szkolnictwo wyższe. Poza zamknięciem 18 szkół wyższych w Ameryce [10] oraz szeregu akademij pedagogicznych w Niemczech, szkolnictwo wyższe nie poniosło większych strat. Zapewne, niejednokrotnie nie może się ono należycie rozwijać, niejednokrotnie zmniejszono mu dotacje na zakłady naukowe czy stypendja dla młodzieży, niemniej jednak stwierdzić należy, że narazie wyszło ono obronną ręką, czego nie można powiedzieć o nauce, która nagół, wskutek zbyt małych dotacyj na prowadzenie prac, zahamowała nieco swe tempo.

Przechodząc zkolei do administracji szkolnej, zaznaczyć należy, że i na tem polu poczyniono daleko idące oszczędności. Dzięki zracjonalizowaniu pracy w administracji szkolnej Australja Południowa zmniejszyła liczbę urzędników administracji szkolnej. Belgja nie zwiększyła personelu administracyjnego mimo wzrostu szkół. Duże oszczędności w tej dziedzinie zaprowadziła Bułgarja. Estonja i Polska dokonały zracjonalizowania wszystkich urzędów administracji szkolnej, co np. w Polsce wyraziło się w znacznem zmniejszeniu liczby urzędników Ministerstwa W. R. i O. P. i poszczególnych Kuratorjów szkolnych oraz w przeprowadzeniu reorganizacji inspektoratów szkolnych. Wizytacje szkolne uproszczono w dwunastu krajach: w Nowej Walji Południowej, w Bułgarji, Quebec (Kanada), Szkocji, w Estonji, Finlandji, w czterech prowincjach Indyj, w Polsce i Rumunji. W Szkocji uproszczenie polega na tem, że sprawozdania wizytacyjne składają inspektorowie co dwa lata. W Nowej Walji Południowej zmniejszono liczbę inspektoratów. W Rumunji liczba inspektoratów zarówno w szkolnictwie powszechnem jak i średniem, oraz ich wynagrodzenie, uległy zmniejszeniu. Birmanja zniosła urząd inspektora wychowania fizycznego i stanowiska podinspektorów szkolnych.

Zarysowany obraz byłby niepełny, gdybyśmy pominęli zagadnienie położenia nauczycielstwa w poszczególnych krajach. Na sześćdziesiąt państw 8 tylko, t. j. Danja, Irlandja, Islandja, Szwajcarja, prowincja kanadyjska Ontario, wyspy księcia Edwarda i 2 prowincje Indyj, nie obniżyło poborów nauczycielskich. Redukcja poborów w poszczególnych krajach nie obejmuje jednak nauczycielstwa wszystkich typów i stopni szkół. W Belgji zmniejszono uposażenie tylko nauczycielstwu szkół średnich i seminarjów nauczycielskich, w prowincji Quebec nauczycielstwu szkół wiejskich i to w niektórych tylko okolicach, w Siamie nauczycielstwu szkół komunalnych. W niektórych państwach redukcja poborów przybrała formę opodatkowanie nauczycielstwa. I tak, w Belgji wprowadzono podatek kryzysowy, obejmujący płace nauczycieli seminarjów nauczycielskich, specjalnym też podatkiem obłożono nauczycieli w Egipcie, we Francji i w Urugwaju. W Estonji wprowadzono redukcję przejściową poborów. W Jugosławji zmniejszono dodatek drożyźniany. Podatki kryzysowe, stosowane do płac nauczycielskich, mają charakter progresywny i nie dotyczą tych nauczycieli, których wynagrodzenie nie sięga pewnej określonej sumy.

W innych państwach redukcja płac wynosi przeciętnie 10% uposażenia, czasem jednak sięga od 17% — 20%, a w Australji 22½%, w Bułgarji 20%, dla nauczycieli nieżonatych i nauczycielek niezamężnych. W Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej redukcja płac w niektórych okręgach sięga 40%, 50%, a nawet 60%. W Nowej Zelandji zredukowano pobory nauczycielstwa dwukrotnie, raz o 10%, drugi raz od 5 do 12%.

Pensje emerytalne zmniejszono w 14 państwach: w Niemczech, Australji. Bułgarji, Gdańsku, Egipcie, Estonji, na Węgrzech, w prowincji Madras (Indje), w Luksemburgu, w Polsce, Urugwaju i w Jugosławji. W Holandji tylko emerytury nauczycielek zamężnych uległy redukcji.

W kilku państwach przedłużono granicę lat służby, potrzebnych do uzyskania emerytury. Redukcja personelu nauczycielskiego, dokonana przez zwiększenie ilości uczniów w klasie, zwiększenie liczby obowiązkowych godzin nauczania oraz przenoszenie w stan spoczynku, nie wydała nagół spodziewanych rezultatów oszczędnościowych z wyjątkiem Niemiec i Norwegji. Gdańsk i Norwegja wprowadziły wszystkie te restrykcje, Jugosławja — z wyjątkiem przenoszenia w stan spoczynku, Pendżab (Indje) — z wyjątkiem zwiększenia obowiązkowej ilości godzin nauczania. Pozatem w wielu państwach nie zmniejszono liczby nauczycieli, lecz powiększono ilość uczniów w klasach (Nowa Walja Południowa, Belgja, Bułgarja, Kolumbja, Estonja, Polska i t. d.). W Austrji wszystkie prowincje ograniczyły przyjmowanie uczniów do seminarjów nauczycielskich, to samo uczynił jeden stan Kanady, Nowa Zelandja, Szkocja, Birmanja (Indje), Transwal i Polska przez zniesienie pierwszych lat kursów seminarjów nauczycielskich. Przenoszenie w stan spoczynku, co wydawałoby się pierwszą konsekwencją kryzysu, zastosowało tylko dziesięć krajów. Z tych cztery: Australja (3 stany), Gdańsk, Finlandja i Polska, uczyniły to tylko w stosunku do nauczycieli specjalnych. Przenoszeń personelu nauczycielskiego w stan spoczynku dokonywa w poważnej liczbie tylko sześć krajów: Niemcy, Stany Zjednoczone Ameryki Północnej, Indje (3 prowincje), Norwegja, Rumunja i San Salwador. W Estonji wprowadzono w życie tymczasowe rozporządzenie, według którego traci posadę nauczycielka mąż lub żona, o ile wynagrodzenie drugiego małżonka wynosi miesięcznie w mieście 140, a na wsi 80 koron. Dwanaście państw wprowadziło duże ograniczenia w dziedzinie dodatkowych świadczeń finansowych dla nauczycieli. W Australji Zachodniej zniesiono prawo do dłuższych urlopów po kilkunastu latach służby, w Bułgarji dopłaty gminne do pensyj nauczycielskich, w Finlandji stypendja na podróże naukowe, w Irlandji i Polsce wynagrodzenia za pełnienie pewnych nadobowiązkowych funkcyj, w Belgji i Danji kredyty na zwrot kosztów podróży.

Ilość bezrobotnych wykwalifikowanych nauczycieli wynosi w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej 200.000, w Czechosłowacji z końcem roku szkolnego 1933/34 wynosiła 1500, z końcem 1934/35 przewiduje się 3000, w Rumunji ilość bezrobotnych nauczycieli wynosi 15.000, w Jugosławji 3000 [11], w Polsce około 10.000. Nadmiar sił nauczycielskich zaczyna dotkliwie dawać się uczuć również w Norwegji. Do konkursu na posadę nauczyciela szkoły powszechnej w miejscowości nadfiordowej, odciętej od wszelkiej komunikacji, zgłosiło się 151 kandydatów. Siedemnastu z nich miało egzamin na nauczycieli szkół średnich, sześciu poza seminarjum miało ukończone gimnazjum bez egzaminu dojrzałości, trzech poza ukończonem seminarjum ukończyło także wyższą szkołę nauczycielską. Znaczna część kandydatów posiadała także ukończone kursy specjalne (slöjd, rysunki, śpiew). Prawie wszyscy byli dotąd bez posad z wyjątkiem dwu. Bezrobocie nauczycieli w ostatnim roku objęło szereg dalszych państw; by temu zapobiec, szereg rządów zamknął seminarja nauczycielskie, akademje pedagogiczne, lub conajmniej ograniczył znacznie przyjmowanie kandydatów do zakładów kształcenia nauczycieli.

Na zakończenie nasuwają się jeszcze pewne uogólnienia, wynikające z przedstawionej analizy stosunków na polu szkolnictwa. Pierwsze — to wrażenie, że ogarnie nas powtórna fala barbarzyństwa, o ile społeczeństwa i rządy nie zajmą się dość wcześnie daleko idącą poprawą obecnego stanu rzeczy. Drugie — to pozytywne stwierdzenie, że w czasach naszych — może wskutek braku perspektywy dziejowej napozór niewidocznie, lecz niewątpliwie — tworzy się nowy układ stosunków, nowa warstwa t. zw. elity, do której wejdą i której kadry tworzyć będą dzieci warstw finansowo dobrze uposażonych, bez względu na ich klasową przynależność.

I jeszcze jedno: w obrazie tu naszkicowanym Polska przedstawia się, mimo nawet poważnych braków w pewnych zakresach, nienajgorzej. Stan szkolnictwa naszego bezwzględnie nie uprawnia ani do pesymizmu, ani tem mniej do rozpaczy, zwłaszcza gdy się weźmie pod uwagę, że własne szkolnictwo tworzymy od niespełna 15 lat. Zdrowa wiara w przyszłość rozwoju polskiego szkolnictwa i zdanie sobie sprawy z konieczności dalszych poważnych wysiłków, nakładu finansowego i poświęceń pozwolą nam na przezwyciężenie kryzysu oświatowego.

STEFAN TRUCHIM

[10] *The Deepening Crisis in Education*, Washington 1933.

[11] *Schweizer Erziehungs-Rundschau*, 1934, nr. 5.

WALKA Z MASZYNĄ

Maszyna nie była wytworem samej tylko wynalazczości technicznej mechanizującej życie [1], była właśnie owocem dokonywającej się na wojnie, w klasztorze, w kopalni, w państwie absolutyzmu mechanizacji zbiorowości ludzkiej. Życiowa potrzeba ładu i regularności, chęć wyeliminowania wszystkiego, co jest nieopanowanym, a więc niebezpiecznym, może grzesznym, odruchem, pragnienie traktowania środowiska naturalnego i ludzkiego jako przejrzystego i posłusznego mechanizmu — oto duchowa atmosfera, w której powstawały wynalazki mechaniczne, potężniała wiara w wartość maszyny, rodziła się religja maszynizmu i metafizyki mechanistycznej. W tym duchu zmechanizowania — oddziaływała również maszyna na społeczeństwo. Nasza współczesna cywilizacja nosi niezatarte piętno tej mechanistycznej i ilościowej koncepcji świata. Cechami jej są: po pierwsze, mechaniczny czas, wyrażający się surową regularnością zegara i kalendarza, obcy wszelkiemu organicznemu i subjektywnemu pulsowi życia, wytwarzający charakterystyczny stan znużenia, znany już w pierwszych środowiskach zmechanizowanych, klasztorach, zwany wówczas *acedia*. Po wtóre, wzmocnienie potęgi, pozwalające na produkcję dóbr, niezależnie od istotnych potrzeb. Po trzecie, charakter uniformistyczny, dążność do standardyzacji, do przemiany ludzi w automaty. I wreszcie, widoczna już u źródeł rozwoju maszynowego wiara w to, iż wszelkie trudności życia mogą być rozwiązane metodą ilościową, że więc zagadnienie słusznego podziału dóbr da się rozwiązać przez wytwarzanie coraz większej ich ilości, a potrzeba rozumnego wyzyskiwania energji ludzkiej będzie zaspokojona przez potężne zwielokrotnienie jej siły.

Przeciw tej rzeczywistości społecznej i duchowej powstała reakcja, akcentująca aż do przesady wartości krańcowo różne. Reakcja hiperuczuciowa i irracjonalna, głosząca ideał nieopanowanej swobody oraz nawrotu do prymitywizmu. Reakcja ta, od Szekspira do Morrisa, od Goethego do Nietzschego, od Roussa do W. Hugo, usiłowała bronić tego wszystkiego, co żywe, naturalne, historyczne, uczuciowe. Wiek XIX jest też w Europie okresem wzrastającego kultu historji narodowej i tradycji lokalnej, niszczonych przez międzynarodową cywilizację techniczną. Nawiązywanie do średniowiecza, wyzyskiwanie wartości regjonalnych, obrona obrzędów, zwyczajów i strojów stawała się orężem walki z mechanistyczną cywilizacją. Przejawem tej samej walki była obrona natury, natężenie ruchu turystyczno-krajoznawczego, pragnienie ucieczki z wielkich miast, odżycie instynktu włóczęgi i kult przygód awanturniczych.

Oba procesy akcentowały skrajności. Wyzwolenie z więzów, niegodnej człowieka, rutyny mechanicznej stawało się poddaniem się w niewolę nieopanowanym instynktom prymitywizmu. Człowiek przecywilizowany stawał się barbarzyńcą. Dlatego też reakcja romantyczna nie rokowała, w gruncie rzeczy, nadziei na odrodzenie. Proces dehumanizacji społeczeństwa przez maszynę był w gruncie rzeczy podtrzymywany przez romantyczny kult instynktu, siły życiowej, pierwotności i swobody. Ten związek między pozornie przeciwstawnemi prądami: utylitaryzmu i romantyzmu, wykazany w świetnych studjach Babbitta, przejawia się — zdaniem Mumforda — w jaskrawy i charakterystyczny sposób w zjawisku wojny. Jest ona mianowicie zarazem i realizacją ideałów mechaniczno-technicznych i zaspokojeniem instynktów prymitywnych. Wojna przerywa i kładzie kres owemu *taedium vitae*, na które chorują ludzie zmechanizowanych społeczeństw, wyrywa ich z monotonji codzienności i pozwala na przejaw prymitywnych sił. Jednocześnie wszakże jest wojna wyrazem techniczno-organizacyjnych zdolności. Staje się więc jednocześnie i wyrazem wartości zmechanizowanego społeczeństwa i kompensatą jego braków. Jest, jak neuroza, załagodzeniem konfliktów między organicznemi impulsami i zmechanizowanem środowiskiem czasów pokoju. Uczy ona, iż człowiek zmechanizowany i człowiek prymitywny są równie niebezpieczni dla kultury.

Chcąc zatem istotnie przezwyciężyć jednostronności zmechanizowania, nie wolno popadać w jednostronność przesady uczuciowej. Ani całkowite i entuzjastyczne uznanie maszyny, ani romantyczne odrzucenie jej zupełnie nie wyzwoli nas z chaosu. Duch dawnej maszyny reprezentuje tylko pewną stronę psychiki ludzkiej, nie całą. Rozpoczynający się w epoce neotechnicznej proces asymilacji maszyny polega na zbliżeniu jej do innych stron życia ludzkiego. Maszyna, która była wyrazem zmechanizowanego życia mnicha, żołnierza, górnika i finansisty, stać się może wyrazem poety i społecznika. Jesteśmy świadkami walki z dawnym typem maszyny, walki, mającej na celu nie jak w okresie romantyzmu zniweczenie wszelkiej maszyny, ale walki, mającej na celu zasymilowanie jej t. zn. przystosowanie do potrzeb i wartości ludzkich. Widać tę asymilację zarówno w sztuce, jak i w życiu społecznem. Maszyna przestaje być, jak kiedyś była, symbolem religijnym, wyrazem wiary w mechaniczną istotę bytu; staje się tylko jednym ze sposobów traktowania przez ludzi siebie samych i swego środowiska.

Powstaje tedy pytanie: co możemy i powinniśmy uczynić, aby w całej pełni wyzyskać wartości maszyny i nie ulec niebezpieczeństwom, któremi grozi zarówno bezwzględny jej kult, jak i całkowity przeciwko niej protest? Przedewszystkiem uwolnić się trzeba od destrukcyjnego ideału ekonomji dotychczasowej. Według niej bowiem życie ma wartość jedynie jako narzędzie pracy, a w pojęciach produkcji, konsumcji i zysku zamyka się cała rzeczywistość. Wzmożenie tempa i sprawności produkcji, podniesienie konsumcji, wzrost zysku — oto zadania i cele. Człowiek, i jako pracownik i jako konsument, staje się elementem procesów gospodarczych, któ-

[1] Por. *Pion* nr-y 14 i 16.

SELENE

A jeśli nie zabiję, to zbudzę cię ze snu
pocałunkiem, o duszo, śniąca w zimnem świetle!
Już mgłami mrok nadrzeczne topieliska przesnuł,
i drgają niewidzialnych chrabąszczy basetle.

Zaraz spadnę na ciebie, w blasku cię roztopię,
i wnet budzić cię będę palcami z promieni,
zmącę oddech spokojny, senny świat wytropię
i wejdę weń dziewczyną, która się rumieni.

Miłujesz mnie. Wraz z tobą po twoich snach płynę...
Lecz twe zbudzone ciało nie dla mnie tak płonie!
W snach twoich, widzę! pieścisz nieznaną dziewczynę!
to nie ja, to nie ja, Endymionie!

WŁADYSŁAW SEBYŁA

rym służy. Wyniszczenie go jako pracownika-twórcy i wyniszczenie go jako odbiorcy-konsumenta staje się w tych warunkach normalnem i tolerowanem zjawiskiem[1]. Otóż trzeba na rzeczywistość spojrzeć z innego, życiowo-ludzkiego stanowiska. A wówczas nowe znaczenie zyskają dawne pojęcia i hasła, powstaną nowe idee kierownicze. I tak, hasło racjonalizacji produkcji nie powinno oznaczać dążenia do takiej jej organizacji, by, traktując człowieka jako maszynę, troszczyć się tylko o sprawność produkcyjną, o ilość i o cenę wytworów. Prawdziwa racjonalizacja polegać musi na wyzyskaniu pełnych możliwości ludzkich, na przystosowaniu pracy do człowieka, a nie człowieka do pracy, na uczynieniu z zawodu procesu życia i rozwoju, procesu kształcenia się wewnętrznego, a nie wyniszczenia duchowego i rutyny mechanicznej. Po wtóre racjonalizacja produkcji objąć musi nietylko sam proces wytwarzania, ale również i jego społeczną celowość. Nie może być ideałem nieustanny i nieograniczony niczem wzrost produkcji. Nie powinno chodzić o wzmożenie konsumcji, ale o uzdrowienie jej. Człowiek bowiem nie powinien być rynkiem zbytu, ale być miarą i zapotrzebowaniem dla produkcji. Ma ona zaspokajać słuszne potrzeby ludzkie. Tymczasem w epoce szału wytwórczego mało kto o tem myśli. Traktowanie człowieka jako rynku zbytu dla wyprodukowanych towarów sprawiło, iż życie, nietylko ubogich, ale i zamożnych, stało się powierzchowne i niehigjeniczne. Wzrost bogactwa, wzrost komfortu i zbytku, rozwój maszynizmu i wynalazków, wzrost ilościowy konsumcji nie oznacza wcale zwiększonego natężenia życia, jako sprawności biologiczno-psychicznej i ekspresji wewnętrznej. Uwolnić zatem konsumcję od obowiązku „niszczenia“ wyprodukowanych dóbr, uczynić ją funkcją potrzeb ludzkich, sprawić, by służyła fizycznemu i duchowemu wzmocnieniu życia (przez dobór odpowiedniego pożywienia, mieszkania, odpowiednich rozrywek, wypoczynku itp.) oraz by stawała się elementem i narzędziem ekspresji życiowej jednostki — oto nowy ideał „ekonomiczny“.

Nowy ideał ekonomiczny przeciwstawia się więc całkowicie dawnemu. Nie praca i nie produkcja, sama w sobie lub dla zysku, ale produkcja dla dobra życia ludzkiego, praca jako wyraz osobowości i jej dążeń stają się miarą organizacji społeczno-gospodarczej. Nie rozmach, wyrażający się rosnącemi cyframi statystyk, ale celowość i ludzka użyteczność zaczynają uchodzić za wskaźnik wartości. Nie podbój materjalny, bogactwo i potęga, ale życie, kultura i ekspresja stają się wyznacznikami ludzkiego działania. A gdy tak, i w nauce i w dążeniach społecznych i w etyce, dokonywa się zmierzch mechanistycznych pojęć o świecie, to jednocześnie zmienia się również i stosunek do maszyny. Proces mechanizacji przestaje być wartościowy sam w sobie i zaczyna być mierzony społecznemi i kulturalnemi wynikami. Maszyna, przystosowana do antywitalnego środowiska kopalni, wojny, spekulacji, staje się znowu bliższą organizmowi. Dlatego też można przewidywać, sądzi Mumford, iż niektóre rodzaje maszyn będą powoli zanikać, te mianowicie, które są obce życiu, oraz te, których istnienie zależało od niezaradności społecznej. Wiele maszyn bowiem istniało tylko dlatego, iż ludzie nie umieli współżyć ze sobą. Niejedna maszyna była wynikiem ludzkiej nędzy, ciemnoty i nieładu, spekulacji kapitalistycznej. Jak zdrowy człowiek nie potrzebuje się wspierać na szczudłach, podobnie ludzkość zdrowa indywidualnie i społecznie odrzuci niektóre maszyny, ograniczy użytek innych. Postęp w kulturze osobistej i społecznej uczyni zbędnemi te wszystkie maszyny, które były wynikiem sztucznej, dyktowanej instynktami przemocy i wyzyska mechanizacji życia. Gdy w sposób bardziej organiczny zespolą się społeczeństwa, tem mniej trzeba będzie sztucznych narzędzi zespolenia i mechanicznych narzędzi gwałtu. Gdy znowu zakwitnie umiejętność bezpośredniego wyzyskania życia, zmniejszy się rola mechanicznej rutyny i sztuczności mechanicznych instrumentów. Gdy pogłębi się życie jednostki, zmniejszy się znaczenie zmechanizowanych sposobów rozrywki i zmechanizowanej oświaty. Gdy w nowej epoce powstanie nowe środowisko życia i pracy, przestaną być potrzebne te wszystkie usprawnienia techniczne, które konieczne były w nienaturalnych tworach okresu paleotechnicznego, w wielkich miastach. Ze świata maszyn znikną więc te wszystkie „szczudła“, które były potrzebne i które musiały służyć społeczeństwu. nie umiejącemu żyć społecznie w sposób naturalny, biologicznie zdrowy, indywidualnie pogłębiony. Pozostaną inne. Te. które nie będą siłą, idącą przeciw życiu. Te. które wzmogą jego pełnię, uwydatnią możliwości, które dopomogą człowiekowi.

BOGDAN SUCHODOLSKI

[1] Por. W sidłach produktywizmu — *Pion* 24.II.34.

KOŚCIÓŁ, PAŃSTWO I ZDROWY ROZSĄDEK

Nie łatwo jest w Polsce polemizować. Poza stroną rzeczową polemiki kryje się bowiem niemal zawsze obszerny margines nieporozumień. Nieproporcjonalnie dużo sił zużywa się u nas na rozpraszanie tych nieporozumień, aby wreszcie, oczyściwszy sobie jako tako teren, rozważyć sprawę samą.

Dwa artykuły polemiczne w *Pionie*, krytykujące mój artykuł p. t. *Wychowanie religijne a wychowanie państwowe*[1], są tego wymownym obrazem. Mam na myśli artykuły pp. Furmanika i Dembowicza[2]. Ponieważ zawierają one sporo punktów wspólnych, a bardziej dla mnie zajmujący (jako że bardziej symptomatyczny) jest artykuł p. Dembowicza, przeto zajmę się pokrótce właśnie jego wywodami.

Sprawa przedstawia się w ten sposób. W moim artykule podkreśliłem rozbieżność między ideałem religijnym i państwowym, zaznaczając, że te dwa ideały toczą walkę w duszy człowieka, który je usiłuje pogodzić; oba bowiem odpowiadają różnym nastawieniom psychicznym, kształtują wyobraźnię w różny sposób, czerpią siłę z różnych wizyj świata. Zaznaczyłem dalej, że zarówno ideał państwowy jak religijny są transcendentne, to znaczy treścią swą wybiegają poza sprawy objęte ziemskiem życiem jednostki. I tu cierpliwy p. Dembowicz nie mógł wytrzymać. Wyjaśnia mi zupełnie poważnie, że się mylę, bo „państwo jest grupą terytorjalną wyłączną z własną podgrupą władzy zwierzchniej“. Mniejsza o słuszność tej definicji. Istotne w tym wywodzie jest to, że państwo mieści się całkowicie w ramach rzeczywistości empirycznej — a więc nie może być transcendentne. Bo i jakże: skoro państwo czegoś od swych obywateli żąda, coś im nakazuje — jak to właśnie ja w moim artykule pisałem — no to jak można nazywać je transcendentnem? P. Dembowicz robi minę mentora i godnie mi peroruje.

Całe to nudne nieporozumienie wynika poprostu z braku wyobraźni czytelniczej. który nie jednemu p. Dembowiczowi jest właściwy. Ale trudno, jest jak jest. Postarajmy się sprawę wyjaśnić systemem łopatowym, jedynie tu właściwym. Otóż wiem, że słowo „transcendentny“ jest związane z z filozofją Kanta i że w rozumieniu tej filozofji oznacza ono to, co się odnosi nie do fenomenu (świata zjawisk), tylko do noumenu, rzeczy samej w sobie. I wiem również, że jeśli zamknąć oczy na wszystko inne i trzymać się jak pijany płotu tego jednego jedynego terminu, w oderwaniu od całego biegu myśli, tendencji, przykładów i t. d. arykułu, to bardzo łatwo zrobić z tego skandalik. Państwo transcendentne, a więc państwo — rzecz sama w sobie — byt idealny, idea platońska. A równocześnie to państwo czegoś od nas chce, żąda, rozkazuje nam. Cóż to za państwo, moi państwo? — Znam ten rodzaj replik — zwłaszcza z odczytów dyskusyjnych. Prelegent np. mówiąc o jakimś konflikcie psychologicznym, raz nazwał ścierające się czynniki „sprzecznemi“ drugi raz „przeciwnemi“. „Musowo“ podniesie rączkę słuchacz filozofji, który skromnie zauważy, że tu jest „nieścisłość“, bo on wie z wykładów logiki, że co innego „przeciwne“ a co innego „sprzeczne“ — aha, widzi pan... Tylko, że w danym tekście ta pewna chwiejność terminów niczego nie zaciemnia; przeciwnie, wprowadzanie tu właśnie jakiejś sztucznej ścisłości — właściwej na terenie rozważań logicznych — zbałamuci tylko słuchaczy i odwiedzie od tematu.

To samo z p. Dembowiczem. On zapamiętał to jedno, że „transcendentny“ to znaczy odnoszący się do rzeczy samej w sobie — i że ja nazwałem państwo transcendentnem. A skoro tak, to i t. d. Uf!...

Czytelnik, który zadałby sobie fatygę zrozumienia, o co mi w moim artykule chodziło, nie miałby tych uczonych skrupułów. Wiedziałby bowiem, że nazywając państwo „transcendentnem“, nie miałem na myśli przenoszenia go w świat noumenalny, że chodziło mi o coś zupełnie innego. O cóż mianowicie? — O to, że ideał państwa obejmuje elementy przekraczające granice doświadczenia, dostępnego jednostce ludzkiej, że w poczuciu naszem (analizowałem przecież antagonizm tych dwu ideałów ze strony p s y c h o l o g i c z n e j) państwo — to coś więcej niż to państwo, którego obywatelami dziś jesteśmy, że ma pewien byt samoistny, który nie wyczerpuje się całkowicie żadną konkretną formą państwa istniejącego w czasie teraźniejszym czy przyszłym; podobnie „Ojczyzna“, „Sztuka“ są czemś więcej niż ojczyzna i sztuka w danym momencie dziejowym. Żołnierz nie umiera za to państwo, które niejako ma przed oczyma, ani za żadne konkretne państwo przyszłości, ale raczej za to, aby wogóle było państwo, za jego trwałość, za ciągłość jego życia, za jego wieczność. Chrześcijanin umiera za i n n ą wieczność, a raczej dla innej wieczności — dla takiej, w której niema miejsca na takie rzeczy jak państwo, ojczyzna, sztuka. Ale nie będę powracał do spraw, o których pisałem obszerniej w poprzednim artykule.

Czy wynika z tego, co napisałem, że owo państwo idealne — nazwijmy je tak — za które umiera żołnierz na placu boju, jest ideą platońską, noumenonem? — Bynajmniej. Można sobie tę „transcendencję“ państwa wyobrażać na sposób bardziej psychologiczny jako pewną *idée force*, czy też z odcieniem biologicznym w duchu bergsonowskiego *élan vital*, czy jakkolwiek inaczej jeszcze. N i e b a d a ł e m, j a k a m e t a f i z y k a t k w i u s p o d u t e g o p o c z u c i a.

Nie było mi to potrzebne. Dla moich celów wystarczało stwierdzić, że pomiędzy ideałem religijnym i państwowym toczy się walka, że nie dadzą się one ułożyć w jednej duszy, gdyż oba stanowią jakby parę współzawodniczących ze sobą transcendencyj. Podkreśliłem napięcie tego konfliktu i to, że dzisiejsza epoka nie sprzyja jego złagodzeniu, raczej zaostrza go niesłychanie.

Obawiam się teraz, że p. Dembowicz zarzuci mi, iż napisałem słowo „dusza“, chociaż „jak wiadomo“ współczesna psychologja i t. d.

Bo tak się u nas polemizuje i w dodatku właśnie takie polemiki uchodzą za „ścisłe“ i „naukowe“. Skłonny jestem przyznać się do jednej jeszcze winy — winy z punktu widzenia polemistów typu p. Dembowicza. Oto nie uczuwam żadnej skruchy z powodu zastosowania terminu „transcendentny“ w tekście, który żadnych kantowskich aluzyj nie zawierał. Uważam bowiem, że jest prawem pisarza rozporządzać językiem z pewną swobodą, a takie poszerzanie terminów i nadawanie im nowych sensów stanowi jedno ze źródeł odświeżania stylu, i żaden pisarz nie wyrzeknie się tego środka ekspresji. Naturalnie wynikają na tem tle nieporozumienia, ale czyż jesteśmy obowiązani pisać zawsze dla czytelników niedomyślnych?

Pretensje p. Dembowicza nie kończą się zresztą na „transcendencji“. Więc dalej wytacza nowy zarzut. Oto powiada: skoro ja stwierdzam rozbieżność pomiędzy ideałem państwowym i religijnym, czemuż rozstrzygnięcie konfliktu między niemi pozostawiam „życiu“? Czyż nie jest to nawrót do przysłowiowego polskiego „jakoś to będzie“?

Stanowisko moje przenosi p. Dembowicz na zagadnienie stosunku Kościoła do Państwa.

Odpowiedź nie jest trudna. Nie zajmowałem się w swoim artykule stosunkiem Kościoła do Państwa. Zajmowałem się czem innem; sprawą społeczno-psychologiczną: możliwości czy niemożliwości uzgodnienia ideału religijnego i państwowego w wychowaniu młodzieży. Tę sprawę można rozważać niezależnie od tamtej. Można np. być zwolennikiem rozdziału Kościoła od Państwa, a równocześnie przeczyć istnieniu zasadniczego konfliktu pomiędzy ideałem państwowym i religijnym. Znam katolików, którzy takie właśnie stanowisko zajmują.

Jeśli pisałem o „pozostawieniu życiu“ konfliktu pomiędzy państwowym a religijnym ideałem w wychowaniu, to miałem na widoku pewne niezaprzeczalne właściwości naszej psychiki.

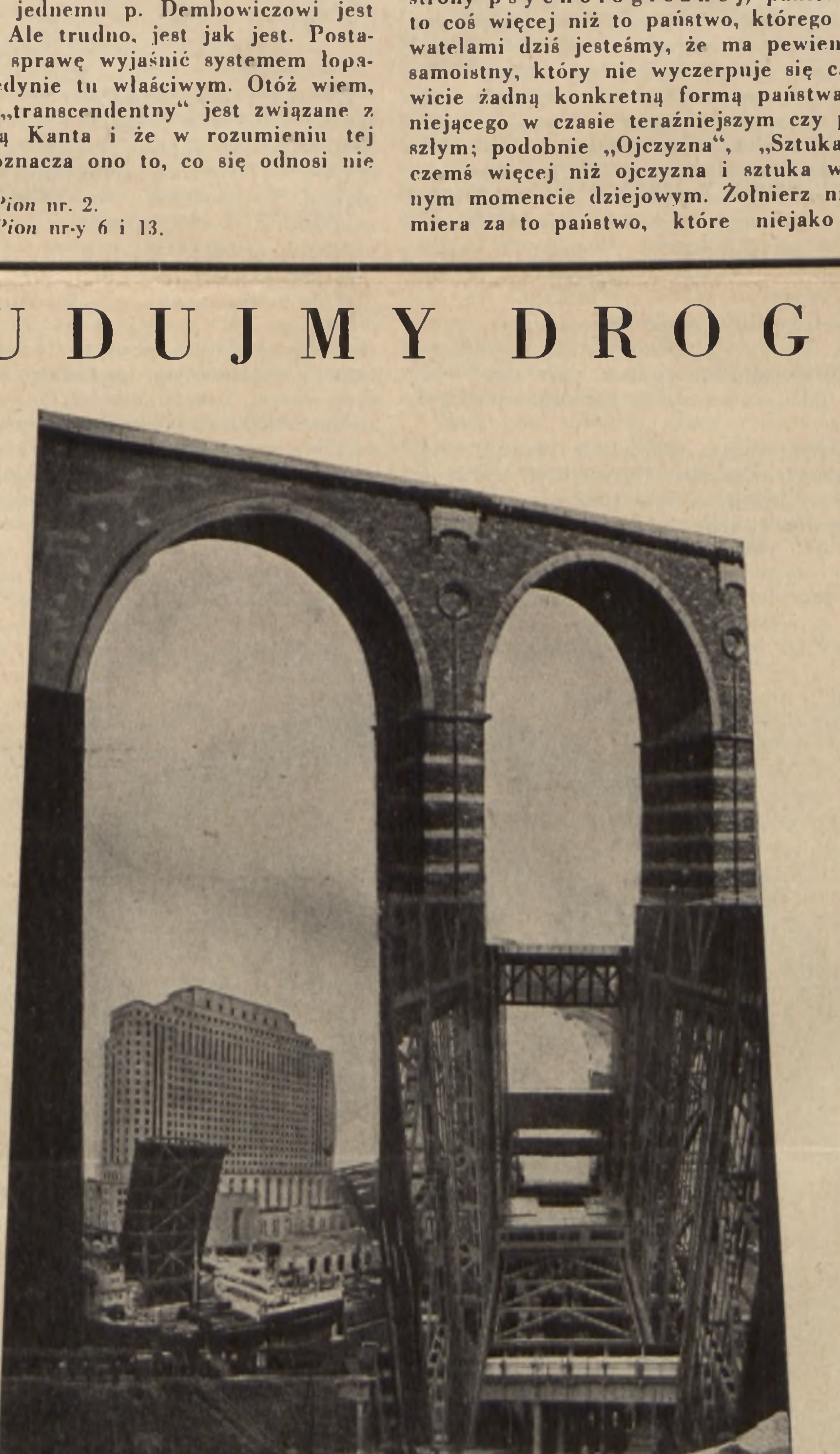
Twierdziłem mianowicie i twierdzę, że antagonizm pomiędzy owemi dwoma ideałami: religijnym i państwowym, nie da się u nas przeważyć na korzyść jednego z antagonistów dlatego, że z jednej strony życie religijne jest u nas zbyt powierzchowne, z drugiej zaś nie jesteśmy — jak pisałem — narodem, który stwarza doktryny. A na to, aby państwo jako ideał mogło w społeczeństwie z a p a n o w a ć, na to trzebaby pewnego rodzaju religji państwa, analogicznej do tych, które tak bujnie rozwinęły się w Sowietach i Niemczech. Otóż nie widzę w naszej psychice elementów, któreby taką doktrynę zdolne były wyłonić. Nie pieję z tej okazji hymnów na cześć naszej pięknej duszy narodowej, rozmiłowanej w indywidualizmie i wolności, ale nazywam rzeczy po imieniu. Poco tam, gdzie się widzi poprostu brak pewnego rodzaju uzdolnień, prawić o jakiejś wielkiej cnocie, która ten brak przystraja w piękne szatki? Naco ta megalomanja narodowa?

Tak więc i tutaj każdy z nas mówił o czem innem — „jak zwykle w kółku rodzinnem“ — dodałby Boy. Ale ja powiem: jak zwykle w polemikach, które powstają nie tyle z potrzeby starcia poglądów, ile z ducha nudy i pedanterji, z ducha przesadnej ścisłości w drobiazgach, która prowadzi do nieścisłości w rzeczach zasadniczych.

J. E. SKIWSKI

[1] Por. *Pion* nr. 2.
[2] Por. *Pion* nr-y 6 i 13.

B U D U J M Y D R O G I!



PRZEZ POŻYCZKĘ INWESTYCYJNĄ, WŁASNEMI ŚRODKAMI, WŁASNĄ PRACĄ, ROZBUDUJEMY POLSKĄ SIEĆ DROGOWĄ

KOMITET LIGI DROGOWEJ
PROP. POŻYCZKI INWESTYC.

MALARSTWO, LITERATURA I STYL

EZOTERYZM

Sztuka jest jednem z najważniejszych ognisk wielkiego kryzysu kultury współczesnej. Jeden zaś z najznamienniejszych objawów kryzysowych w sztuce stanowi dążność do wyzwolenia formy od treści, do samoistnego niejako artystycznego bytu formy.

Dzieje się to nie od dziś, w plastyce zarówno jak w literaturze. Obie sztuki zdają się podejmować współzawodnictwo w bezpojęciowym wyrazie uczuć z muzyką, przy pomocy środków z muzycznemi niewspółmiernych. Obie też zamykają się w wąskim kręgu doktryn, wrażeń i wyrażeń specyficznych, zakreślonym przez postawę duchową zupełnie odosobnioną wobec społeczeństwa, niezdolną budzić w niem szerszego oddźwięku, ani odbierać od niego impulsów twórczych. Powstaje istna „sztuka ezoteryczna“, zrozumiała tylko dla wtajemniczonych, mogąca liczyć na współodczucie jedynie nielicznych, twórcom blisko pokrewnych, organizacyj duchowych.

Na takiem tle toczy się w plastyce przewlekła „wojna pozycyjna“ moderny formistów z konserwą tematowców, w której jedni drugich skłonni są poczytywać za mydlarzy lub za kuglarzy. Przyznać trzeba, że sztuka nie może się powtarzać, nawet na podstawie już dopełnionych arcydzieł, grozi jej to bowiem uwiądem społecznym na nudę, przesyt i zobojętnienie ogółu. Sztuka musi dawać artystyczny wyraz psychice epoki, ponieważ zaś psychika epoki jest zmienna, przeto przekształcać się musi również jej artystyczny wyraz. Jeśli wszakże niebezpieczna jest bierność, to nie mniejszem, choć odwrotnem, niebezpieczeństwem zagraża nadmiar śmiałej inicjatywy na szlaku ostro odśrodkowym wobec natury samej sztuki, jak wobec pojęć i uczuć społeczeństwa. Na tym szlaku nowoczesny „ezoteryzm artystyczny“ może nietylko „skręcić kark“ w przepaści eksperymentów, lecz także zamarznąć w śmiertelnem osamotnieniu.

Zewnętrzny rozłam pomiędzy sztuką a życiem, zrodzony w pewnej mierze z wewnętrznego rozłamu między treścią a formą, kwestjonuje społeczną użyteczność sztuki, tem samem zaś gromadzi chmury nad jej materjalną przyszłością. Nie dziw, iż zaczyna to niepokoić awangardę plastyków, że wywołuje w niej głosy zalecające „powrót do tematu“ z powodów oportunistycznych, nietylko zresztą materjalnych, lecz niemniej propagandowo-ideowych. Zdaje mi się, że byłoby wskazane również samą problematykę zagadnień, dzielących sztukę od życia, wydobyć z pod korca ezoteryzmu na światło dyskusji także dla laików zrozumiałej. Tak czyni w swoim zakresie literatura i dobry jej w tym względzie przykład naśladować warto.

WOJNA Z TEMATEM

Awangardowa ofensywa formy przeciwko treści w plastyce ignoruje naogół pokrewne objawy w sztuce słowa i wychodzi z założenia, że zło powstało naskutek wtargnięcia literatury do malarstwa. Podstawę tej tezy sformułowano w ub. roku na łamach *Pionu* w sposób mniejwięcej następujący: „Narzędziem artystycznem literatury jest słowo, z którem nierozdzielnie wiąże się myśl, ta zaś musi wyrażać jakąś treść rzeczową, czy pojęciową. Słowo jest na to, aby coś powiedziało, a to coś jest właśnie tematem. Temat zatem stanowi *istotę* literatury. Natomiast narzędziem artystycznem malarskiem jest linja i barwa. Oddziałują one bezpośrednio na wzrok, wyrażają zjawiska chwili, lecz nie opowiadają, nie podają, nie konkretyzują myśli. Obraz to „wyraz artysty“, osiągnięty za pomocą linji i barwy na określonej płaszczyźnie. Nic nadto! Temat jest więc dla malarstwa środkiem pomocniczym, bez którego ono obejść się może. Beztematowe obrazy nie przestają być obrazami“.

Nasuwają się tu przedewszystkiem dwa proste pytania. Jeśli beztematowy obraz został pomyślany dekoracyjnie, t. j. ma wywrzeć na widzu wrażenie estetyczne przez celowo skomponowany układ linij i barw, to czem się będzie różnił od ornamentu? Chyba niczem. Jeśli zaś założenie obrazu nie jest dekoracyjne, lecz zmierza do wydobycia wartości „czysto-malarskich“ pochodzenia odtwórczego, jak światło, barwa, bryła, ruch, to jakim sposobem może obejść się bez tematu?

Co ważniejsza, twierdzenie, iż treść przedmiotowa związana jest nierozdzielnie tylko z myślą i słowem, a we wzrokowem „zjawisku chwili“ stanowi jedynie nieobowiązujący dodatek, wydaje mi się szczytem dowolności i najzupełniej nie odpowiada prawdzie. Swoją treść przedmiotową i pojęciową myśl czerpie z *poznania* rzeczywistości przez zmysły, wśród nich zaś intelektualna *funkcja spostrzegawcza* wzroku zajmuje pierwsze miejsce. Treść przedmiotowa jest zatem równie nieodłączna od zjawiska widzialnego, jak od myśli o niem. W konsekwencji nie tylko słowo, jako wyraz myśli, jest na to, „aby coś powiedziało“, lecz niemniej wyobrażenie plastyczne, jako wyraz spostrzeżenia, jest na to, aby coś wyobrażało. To coś jest właśnie tematem, czynnikiem, równie doniosłym w plastyce jak w literaturze. Zdolność słowa do *opowiadania* ciągłości zjawisk w czasie równoważona jest po stronie plastyki większą siłą i precyzją, większą zatem wartością poznawczą w *przedstawianiu* zjawiska chwili. W gruncie rzeczy obie metody odtwórcze, opis i obraz, są jednostronne i wymagają wzajemnych uzupełnień: opis — ilustracji, obraz — objaśnienia.

Mimo to temat nie stanowi *istoty* artystycznej twórczości ani w malarstwie, ani w literaturze, lecz tylko ich objektywną podstawę zewnętrzną. Poznanie zmysłowe oraz jego wyraz słowny, lub wizerunkowy zmierzają w pierwszym rzędzie do celów utylitarnych, do zaspokojenia materjalnych potrzeb ludzkich. Stąd rodzą się rzemiosła: budowlane i sprzętarskie, oraz umiejętności techniczne: słownego opisu i wzrokowego wyobrażania rzeczywistości—pod kątem ściśle poznawczym.

Sztuka powstaje na podłożu rzemiosła, w nierozdzielnym z niem związku, choć nieraz wyprzedza jego rozwój techniczny. Powstaje dlatego, że mocą natury ludzkiej zmysły pełnią funkcję nietylko spostrzegawczą, potrzeby człowieka są nietylko materjalne, dzieła zaś jego nietylko ku ich zaspokojeniu zmierzają. Obok poznawczych *spostrzeżeń* zmysły dostarczają także emocjonalnych *wrażeń*, ponad jednemi zaś i drugiemi piętrzy się psychologicznie *świadomość* intelektualna, oraz uczuciowe *wzruszenie*. Wrażeń, zarówno jak spostrzeżeń, dostarcza przedewszystkiem przyroda, ale także dzieła rąk i ducha ludzkiego. Wrażenia te mogą być dodatnie albo ujemne, zjawiska więc i przedmioty, które je wywołują, mogą „podobać się“ lub „nie podobać“, mogą być piękne lub szpetne. Stąd powstaje pojęcie i *poczucie piękna*, które jest zasadniczo subjektywne, zależne od indywidualności duchowej człowieka pojedyńczego i zbiorowego. To bierne poczucie u jednostek twórczych potęguje się w nieistniejący w rzeczywistości, również subjektywny lecz czynny *ideał piękna*, oraz wywołuje dążność do kształtowania według niego wszystkich dzieł ludzkich. Ów ideał wyrasta organicznie z całokształtu pojęć i uczuć jednostek i środowisk, wcielony przeto w wytwory materjalne i utwory intelektualne, staje się najdoskonalszym wyrazem psychiki epok emocjonalnie twórczych. Wyraz ten formułuje się w *stylu* indywidualnym i zbiorowym, najwyższej wartości, jaką sztuka zdolna jest dostarczyć kulturze.

Najistotniejszą czynnością twórczą sztuki jest zatem przekształcanie czyli *stylizacja* mocą wyobraźni artystycznej wytworów rąk i utworów ducha ludzkiego w taki sposób, ażeby się stawały zdolne zaspokoić potrzeby również ponadutylitarne, dać *wyraz* artystyczny subjektywnemu ideałowi piękna. Ta czynność przeobraża rzemiosło budowlane w architekturę, sprzętarstwo, garncarstwo, krawiectwo w sztukę zdobniczą, prozę opisową w poezję, modelarstwo i rysownictwo użytkowe w artystyczną rzeźbę i malarstwo. Choć jednak nie jest istotą sztuki wytwarzanie przedmiotów użytecznych, lecz przekształcanie ich w przedmioty piękne, mimo to od utylitarnej ich strony sztuka ani odrywać się, ani tem bardziej niweczyć jej nie może. Niszcząc bowiem przedmiot, który przekształca, sztuka popada w sprzeczność sama z sobą, w irracjonalne *contradictio in adiecto*; a ponadto zrywa więź materjalną, która ją łączy ze społeczeństwem, przechodzi w stan ponadżyciowej, bezkrwistej abstrakcji i powolnego zamierania.

Związek tedy pomiędzy sztuką a rzemiosłem jest organiczny i nierozłączny. Tak samo związek pomiędzy sztuką a przedmiotem, który jej rzemiosło wyznacza. Przedmiot taki dla architektury stanowi budowla, dla artystycznego rękodzieła sprzęt, naczynie, odzież, dla literatury zaś i plastyki — *treść tematu*, przekazana przez rzemiosło poznawczego opisu i *poznawczego* wyobrażania rzeczywistości. Przedmiot architektury i rękodzieła jest ograniczony i stosunkowo prosty. Przedmiot zaś literatury, malarstwa i rzeźby o wiele bardziej złożony, gdyż obejmuje całokształt życia. Tem mniej przeto lekceważyć go one mogą. Jeśli nieobojętnem jest dla architekta, czy jego pałac będzie się nadawał do zamieszkania, dla artysty rękodzielnika, czy na jego sprzętach będzie można siedzieć lub wlewać płyny do naczyń, to tem mniej może być obojętnem dla literata, czy jego artystyczna opowieść ma sens i może nim interesować; a dla malarza, czy jego obraz przedstawia pewne podobieństwo z wyobrażonym tematem, czy temat ten coś kogoś obchodzi, albo pociągnąć zdoła.

EWOLUCJA HISTORYCZNA

Wielkie style przeszłości na czoło hierarchji sztuk plastycznych wysuwały architekturę, jako najpotężniejszą, wszechobejmującą wyrazicielkę zbiorowego poczucia piękna. W konstrukcyjne symfonje monumentalnych brył budowli, w olśniewający przepych ornamentacji malarstwo i rzeźba, skromne służebne, wnosiły potrzebną treść przedmiotową, poddaną surowym kanonom jednolicie stylizowanej ekspresji. Wielkość stylów przeszłości stąd płynie, że w architekturze i ornamentyce posiadają one mniej skrępowane przedmiotowością, swobodniejsze narzędzie artystycznego wyrazu przez kształt i barwę; że dalej wyrażają ideał piękna potężniejszy i głębiej oryginalny, niż mógłby powstać w najgenjalniejszej nawet duszy indywidualnej, bo ideał zbiorowy społeczeństwa i epoki; wreszcie zaś i najbardziej dlatego, że poziom życia uczuciowego i zdolność wzruszeniowa owych społeczeństw były nierównie wyższe niźli poziom ich życia umysłowego i absolutnie biorąc — bardzo wysokie. To życie uczuciowe dostarczało treści dla artystycznego wyrazu, siły motorycznej dla fantazji twórczej, norm kierunkowych dla kanonu stylizacji. Odrębność danego stylu w stosunku do natury i do innych stylów odpowiada odrębności subjektywnej treści duchowej, którą styl materjalizuje. Stopień tej odrębności stanowi o sile i bogactwie stylu.

Bez właściwego duchowego materjału wielkie style powstawać nie mogą, twórcy ich bowiem nie mają co i nie wiedzą jak artystycznie wyrażać. Ograniczeni zostają wyłącznie do zasobów swego indywidualnego poczucia piękna, oraz sił indywidualnej fantazji twórczej. W Europie, od czasu przełamania gotyku przez renesans, poziom zbiorowego uczucia stale się obniżał, w miarę jak podnosił się poziom umysłowy. Słabło zbiorowe poczucie piękna, wzmagało się poczucie użyteczności. Jednostka wyzwalała się z pod przewagi społeczeństwa i potęgowała swe dążności utylitarne. Postępował racjonalizm i materjalizm, cofała się zdolność wzruszeniowa. Kurczyła się przeto zwolna moc ekspresji w stylu zbiorowym. Architektura i zdobnictwo ustępowały pierwszeństwa sztuce bardziej przedmiotowej, silniej opartej o spostrzegawczą niż wrażeniową stronę zmysłów, i zarazem mniej społecznej, a bardziej indywidualistycznej: malarstwu, rzeźbie i literaturze. Gdy wreszcie wygasły ostatnie księżycowe odblaski stylu w neo-klasycyzmie i neo-gotyku (romantyzmie), wówczas proza powieściowa, malarstwo naturalistyczne i genjusz indywidualny objęły berło w sztuce.

Kultura wielkomieszczańska adoptowała powieść i malarstwo naturalistyczne, jako umiejętności materjalnie użyteczne, jako rzemiosło odtwórcze, które w doskonaleniu technicznem dotrzymało kroku innym gałęziom produkcji. Wkrótce jednak usunęła malarstwu spory kawał celowości materjalnej z pod nóg zapomocą fotografji. Co ważniejsza, sztuka, w szczególności plastyczna, nie może cofnąć się bez reszty do swej rzemieślniczo-odtwórczej, choćby najbardziej udoskonalonej podstawy, bo wtedy przestanie być sztuką. Musi dawać wyraz artystyczny subjektywnemu poczuciu piękna, jeśli nie w kanonach stylu zbiorowego, to mocą indywidualnej fantazji. Ponieważ zaś kanony prysły, bo z psychiki zbiorowej poczucie piękna zostało wyrugowane przez poczucie użyteczności, przeto sztuka stanęła w obliczu straszliwej walki o swój byt. Opierając się głównie na genjuszu indywidualnym, oraz wydoskonalonej technice naturalistycznej, plastyka wyobrażeniowa podjęła tę walkę w dwóch zasadniczo rozbieżnych kierunkach.

Pierwszy z nich to t. zw. „najazd literatury“ na malarstwo. Niebywałe w poprzednich dziejach sztuki wirtuozostwo techniczne, pozwalające dowolnie opanowywać najbardziej złożone tematy, umożliwiło wyobraźni artystycznej tworzenie porywających wizyj przedmiotowych.

Bogactwem środków kompozycyjnych nie ustępowały one pokrewnej im sztuce słowa, a przewyższając ją bezpośrednią siłą realistyczną wrażenia rzeczywistości, *stylizowały* zarazem *treść* tej rzeczywistości tak, by dawała wyraz ideałowi piękna w zakresie pewnych głębokich tęsknot uczuciowych. Dzięki tedy rozkwitowi odtwórczego realizmu przedmiotowe podłoże malarstwa zostało wyzyskane jako materjał i jako narzędzie artystycznej ekspresji w nieznanym przedtem zakresie, w równym rzędzie z największemi arcydziełami poezji słowa. Ten kierunek, na Zachodzie reprezentował Burne Jones i Moreau, w Niemczech Boecklin, oraz v. Stuck i Max Klinger, w Polsce zaś Matejko i Grottger, Andriolli i Pruszkowski. Ich sztuka znalazła oddźwięk w uczuciu zbiorowem i okazała się społecznie żywotną, zwłaszcza w Polsce, w służbie niepodległościowej.

Jeśli ten idealistyczny realizm utrzymał sztukę wysoko ponad odtwórstwem przez wyzyskanie tematu, to wręcz odwrotną drogą próbował osiągnąć ten sam cel prąd drugi, „czysto malarski“. Wirtuozostwo techniczne, osiągane stopniowo w ostatnich stuleciach po przez Hiszpanów i Flamandów, wyćwiczyło fizjologiczną wrażliwość oczu malarskich w stopniu nieznanym za czasów wielkich stylów autentycznych t. j. przedrenesansowych. Zrodziła się swoista, zmysłowa „rozkosz widzenia“, którą malarstwo, wysunięte na czoło wszechplastyki, w pewnym swoim odłamie uznało za istotę sztuki. Wirtuozostwo odtwórcze miało dostarczyć samo przez się materjału dla artystycznego wyrazu przez poszukiwanie „nowych wartości“ w dziedzinie „czystej formy“ zjawiska widzialnego. Jego treść przedmiotowa jest ze stanowiska „czysto-malarskiego“ najzupełniej obojętna. Głowa Chrystusa jako temat nie przedstawia większej „czysto-malarskiej“ atrakcji niż głowa kapusty, lub zając odarty ze skóry.

NOWE NABYTKI PAŃSTWOWYCH ZBIORÓW SZTUKI



Szkoła Lorenzo di Credi (XV w.)

Na tej drodze poszukiwań wewnątrz własnej aparatury wewnętrznej sztuka poczęła wyraźnie oddalać się od życia. U ogółu bowiem zdolność rozpoznawcza wzroku silniej jest rozwinięta od wrażeniowej i oderwać się od niej nie da. Co więcej możliwość znalezienia na drodze „czysto-malarskiej" nowego materjału dla artystycznej ekspresji, przynajmniej pozytywnej, okazała się bardzo ograniczoną. Wobec już osiągniętego szczytowego punktu techniki odtwórczej, pozostawał otworem tylko kierunek wstecz, a zatem cofania się i rozkładu. Uznano to za lepsze, niż zidentyfikowanie sztuki z jej podstawowem rzemiosłem na osiągniętym przez nie wysokim poziomie.

Impresjonizm wprowadził pierwszą, łagodną jeszcze *deformację techniczną*, upośledzając kształt na korzyść światła i barwy. Ubocznie „wystylizował" sobie w ten sposób subtelne nieraz i dodatnie efekty wyrazu uczuciowego. Kubizm malarski brutalnie roztrzaskał zjawisko widzialne na rzekomą korzyść kształtu, osiągając ekspresję odrażającą. Świadomy ekspresjonizm natomiast i prymitywizm dekoracyjny często stosuje deformację (lub zbyt ostre uproszczenia) kształtu, ruchu i barwy jako środek artystycznego wyrazu, natchniony przez plastykę figuralną wielkich stylów przeszłości, albo ludów pierwotnych współczesnych. Wyraz osiągnięty w ten sposób na obrazie sztalugowym musi być stokroć silniej ujemny niż wtedy, gdy zdeformowane wyobrażenie wkomponowane było jako ornamentacyjny pozytyw w monumentalną symfonję wielkiej architektury.

POWRÓT DO ŻYCIA

Dzisiejsza wojna formy z treścią wszczęła się przeto już dawno. Nie w niej wszakże mieści się punkt ciężkości przesilenia, lecz w stosunku sztuki do życia.

Sztuka jednak jest z natury swej funkcją życia i musi odzyskać z niem kontakt, jeśli nie chce ulec zagładzie. To, iż życie żąda przedewszystkiem rzemiosła, nie jest złe, gdyż rzemiosło stanowi podstawę sztuki. Należy doń powrócić i szanować osiągnięty przez nie wysoki poziom techniczny, zrzekając się dramatyczno-negacyjnej ekspresji, zbyt łatwej do osiągnięcia przez świadomą deformację zjawiska widzialnego. Ażeby zaś w zgodzie z poziomem rzemiosła i jego zadaniem odtwórczem utrzymać jednak sztukę we właściwej jej sferze twórczej, na to są tylko dwa środki: wyobraźnia przedmiotowa i wyobraźnia dekoracyjna. Droga przedmiotowa jest najzupełniej zgodna z naturą sztuki, a łatwiej prowadzi do kontaktu ze społeczeństwem. Nie należy więc drogi tej zamykać doktrynerstwem „czysto-malarskiem". Droga stylizacji dekoracyjnej, która z przedmiotową zresztą chodzić może w parze, jest, w granicach naturalizmu, trudniejsza. Jak wspaniałe jednak wyniki osiągnąć tu się dają bez antinaturalistycznej deformacji, o tem świadczy choćby Daleki Wschód i rzeźba Wschodu starożytnego.

Na tej zwłaszcza ostatniej drodze odciążyć może malarstwo i rzeźbę z przygniatającego je przodownictwa całej plastyce potężny wysiłek, podjęty od dłuższego już czasu przez architekturę i ornamentykę. Powstają tu wszak pierwociny nowego stylu.

W psychice zbiorowej następują też zmiany emocjonalne dodatnie naskutek coraz dramatyczniej kształtującego się procesu dziejowego. Potężna i twórcza rola Państwa wysuwa się w nim na pierwszy plan i rozwijać może punkty zaczepne dla nowej interpretacji artystycznej. Zanosi się na przełom nietylko ustrojowy, lecz i kulturalno-duchowy. Budzi to nadzieję i zachęca do nieopuszczania rąk.

STANISŁAW SZCZUTOWSKI

NOWE NABYTKI PAŃST. ZBIORÓW SZTUKI



Hełm polski z końca XVI w. ornamentowany i złocony

OTWARCIE STUDJUM POLSKIEGO W PARYŻU

W Paryżu powstała ostatnio nowa placówka polska o dużem znaczeniu: Studjum Polskie *(Centre d'Etudes Polonaises à Paris)*, przeznaczone dla studentów francuskich, zajmujących się Polską. Powstało ono staraniem Polskiej Akademji Umiejętności na terenie Bibljoteki Polskiej.

Bibljoteka Polska, twór emigracji, od lat 40 t. zw. „stacja naukowa" Akademji Umiejętności, w zmienionych po odbudowie państwa warunkach musiała oczywiście zmienić swoje przeznaczenie i swój charakter. Jeśli muzeum rapperswilskie straciło w swojej dawnej postaci rację bytu i zostało przeniesione do kraju, bibljoteka paryska — choć w intencjach swych założycieli miała również istnieć zagranicą tylko do czasu odrodzenia Polski, a później wzbogacić zbiory krajowe — słusznie pozostała w Paryżu. Tylko część jej zbiorów (np. wydania autorów francuskich, książki o Francji i t. p.) przewieziono do Warszawy; główny ich trzon: wszystkie *polonica* pozostały na miejscu i systematycznie uzupełniane, stanowią doskonały warsztat pracy także dla cudzoziemców, chcących poznać polityczne i kulturalne życie Polski dawnej i współczesnej.

Bibljoteka stała się organem poważnej i rzeczowej propagandy, przez cykle odczytów, poświęconych aktualnym zagadnieniom Polski współczesnej (np. o Śląsku, Pomorzu, o kwestji polsko-litewskiej), przez perjodyczne wystawy o charakterze historycznym, literackim lub artystycznym.

Teraz w jej murach zagoszczą i młodzi studenci francuscy.

Studjum Polskie jest dalszym etapem akcji szerzenia gruntowniejszej znajomości rzeczy polskich we Francji. Dotychczasowe próby i doświadczenia wykazały, że trudno nam myśleć o jakiejś akcji m a s o w e j, że pewniejszą drogą jest przygotowanie odpowiednio wykształconych j e d n o s t e k, szczupłego choćby grona francuskich *polonisants*, którzy później sami już będą instruowali Francuzów o naszem życiu i naszej kulturze. Tak pojęta działalność rozwija się wcale pomyślnie.

Studenci paryscy mogą studjować polonistykę w Szkole języków wschodnich żyjących *(Ecole des Langues orientales vivantes)*, która posiada katedrę języka polskiego (prof. Henri Grappin) i lektorat (obecnie p. Korwin-Piotrowska). Wykłady te wchodzą zarazem w całokształt nauk słowiańskich, objęty przez Instytut Słowiański *(Institut d'Études Slaves)*. Z ramienia tegoż Instytutu Zygmunt L. Zaleski wygłasza w Sorbonie co roku cykl wykładów o literaturze polskiej. Na kursach krzewienia języków obcych naukę języka polskiego prowadzi A. Chmurski.

Wcześniej czy później dojdzie niewątpliwie do stworzenia katedry polskiej w Sorbonie, co będzie doniosłym krokiem naprzód.

Lektoraty języka i literatury polskiej istnieją już w kilku uniwersytetach prowincjonalnych: w Lille (na obu uniwersytetach: państwowym i katolickim), w Nancy, Strassburgu, Lyonie i Dijon; wkrótce zapewne powstanie lektorat w Tuluzie.

W roku ubiegłym zgłosiło się do egzaminów uniwersyteckich z języka polskiego 50 studentów; 13 Francuzów pojechało do Polski na wakacyjne kursy cywilizacji polskiej, organizowane przez Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego.

Nowoutworzona instytucja ma dawać młodym *polonisants*, pobierającym naukę w wyższych szkołach francuskich, uzupełnienie i pogłębienie ich wiedzy o Polsce. W każdym roku uniwersyteckim odbywać się będą dwa kursy łączne: jeden o kulturze polskiej, drugi o Polsce współczesnej. Wykładowcami będą Francuzi (okoliczność bardzo ważna, słusznie w statucie zaznaczona), a ich asystentami młodzi uczeni polscy.

W zasadach organizacyjnych Studjum zaznaczają się dwie dążności: z jednej strony ułatwienia i nadalej idąca pomoc dla słuchaczy, z drugiej — utrzymanie charakteru poważnego, naukowego, przez kontrolę nad ich pracą, przez końcowe egzaminy. Słuchacze nie ponoszą żadnych opłat, co więcej — mogą nawet otrzymywać stypendja na dalsze studja w Polsce; ale pod koniec roku uniwersyteckiego mają składać egzamin. Kandydaci zaś do stypendjów winni ponadto przygotować i przedstawić do oceny pracę na jakiś określony temat, a w razie otrzymania stypendjum pracę tę w Polsce rozwinąć i uzupełnić.

W skład dyrekcji Studjum wchodzą: jego inicjator, delegat Pol. Akademji Um. i dyrektor Bibljoteki Polskiej, zasłużony dla instytucji min. Franciszek Pułaski; André Mazon, profesor Collège de France, delegat francuskiego ministra wychowania; Zygmunt L. Zaleski, delegat polskiego ministra oświaty na Francję. Komitet opiekuńczy składa się z szeregu uczonych francuskich: przedstawicieli szkół akademickich i członków wydziałów humanistycznych naszej Akademji Umiejętności. Kursy tegoroczne, od połowy lutego do połowy lipca, obejmują wykłady dwu wybitnych znawców Polski. Paul Cazin, świetny tłumacz utworów naszej literatury, mówić będzie o średniowieczu i renesansie polskim oraz o Krasickim i okresie Stanisławowskim. (Krasicki był — jak wiadomo — tematem jego tezy doktorskiej w uniwersytecie lwowskim, którą teraz rozwija jeszcze, by ją przedstawić w Sorbonie). Henri de Montfort, profesor Wyższej Szkoły Nauk Międzynarodowych, autor kilku cennych prac o naszych problemach politycznych, będzie wykładać o Polsce odrodzonej (1914—1935).

Uroczyste otwarcie Studjum odbyło się 16 lutego w czytelni Bibljoteki Polskiej. Sala wypełniona do ostatniego miejsca. Obok wszystkich tutejszych *notabilités* polskich szereg uczonych i publicystów francuskich. W pierwszym rzędzie dostrzegam orlą głowę znakomitego medjewalisty J. Bédiera. Na stole prezydjalnym mikrofon — jeśli się nie mylę, pierwszy raz w Bibljotece Polskiej, — który rozgłosi przemówienia po całej Francji, a zaniesie je też do Polski.

Przewodniczący zebrania, p. ambasador Chłapowski, podkreślił w swem zagajeniu doniosłość nowej instytucji. Prof. Mazon dał rzut oka na rozwój Polonji we Francji w ciągu stu lat od emigracji polistopadowej; mówił z uznaniem o działalności Bibljoteki Polskiej, której dyrektor stara się „skierować ku przyszłości to muzeum przeszłości". P. Zaleski przedstawił rozwój studjów polonistycznych we Francji, a p. min. Pułaski historję i przemiany Bibljoteki Polskiej.

Po przemówieniach nastąpił inauguracyjny wykład p. Cazina. Uwydatniwszy narodowy charakter literatury polskiej, odrębność naszej kultury, prelegent wziął za punkt wyjścia fakt, że dla Francuzów kultura ta jest bliska. Zjawisko to wyjaśniał wspólnem podłożem kultury łacińskiej oraz późniejszemi wpływami francuskiemi. Stąd podwójny temat odczytu: „genjusz łaciński i duch francuski w Polsce".

Rzetelna znajomość przedmiotu—uczonego i talent—literata złożyły się na całość pełną życia, jasną i prawdziwą. Zwłaszcza część druga, obraz dawnych stosunków polsko-francuskich, wpływów francuskich, urozmaicona barwnemi szczegółami z dawnych utworów francuskich, piszących o Polsce, zainteresuje i naszych „fachowców". Jakżeż plastyczne jest np. określenie pisarzy polskich XVII wieku, że radowaliby Moljera, a doprowadzali do rozpaczy Boila[1].

Wykład ten jest dobrą wróżbą dla poziomu i przyszłych prawdopodobnych rezultatów Studjum Polskiego.

Paryż.

LEON PŁOSZEWSKI

[1] Prelekcja P. Cazina ukazała się jednocześnie w druku p. t.: *Le Génie latin et l'Esprit français en Pologne.* Paris. Gebethner & Wolff. Str. 23. (Szkoda, że pominięto tu piękny, osobisty wstęp).

POLSKI SŁOWNIK BIOGRAFICZNY

Wydawnictwa poświęcone biografji i studja nad życiem sławnych czy ciekawych ludzi zdobywają sobie coraz liczniejszych pisarzy i coraz większe kręgi czytelników. Popularność dzieł Maurois, Ludwiga czy Mereżkowskiego świadczy o potrzebie takiej lektury. I nic dziwnego. W okresie, kiedy się tworzą nowe fundamenty cywilizacji, niezbędna jest znajomość przeszłości, konieczne jest takie wniknięcie w dawne czasy, aby z powrotem nawiązać łączność między przeszłością i teraźniejszością, która w zniszczeniu i tumulcie wojennym musiała się zatrzeć. Życiorysy ludzi, którzy wpływali na ukształtowanie się państwa i kultury narodu, najlepiej służą temu celowi. Sięgają w głąb wypadków i w sposób dostępny dla wszystkich dają charakterystykę epoki częstokroć lepszą niż prace syntetyczne.

Dają one wreszcie wielu rodzinom informacje o ich przodkach, a ważne to nietylko dla zaspokojenia ambicyj rodowych, ale także i dlatego, że stwarza możność pogłębienia na dawnych wzorach dzisiejszych celów i zadań życiowych. Służą kultowi przodków, a wiadomo, że zwartość wewnętrzna państwa, etyka i siła moralna narodu źródłami swemi sięga i opiera się nietylko u Rzymian i Japończyków na kulcie przodków.

Zrozumieli to Anglicy, Rosjanie i Niemcy, którzy na długo przed wojną, zbiorowym wysiłkiem uczonych stworzyli słowniki biograficzne niemiecki, rosyjski i angielski. Po wojnie rozpoczęli prace nad biografjami narodowemi, zakrojonemi na szeroką miarę, Włosi, Szwajcarzy, Holendrzy, Szwedzi i in. W Polsce, więcej niż gdzieindziej, słownik biograficzny jest jedną z najpilniejszych potrzeb. Nietylko codziennie przypominać trzeba, że Polska istnieje od tysiąca lat. Wprawdzie od czasów Długosza pisano historje rodzin, życiorysy wodzów, polityków i artystów, ale brakowało nauce polskiej ogólnego słownika biograficznego, któryby mógł stanąć obok takich wydawnictw podstawowych jak bibljografje Estreichera i Finkla, a oszczędził badaczom, każdemu tych samych, poszukiwań i umożliwił im dalsze prace, oparte na dotychczasowym dorobku naukowym.

To też z radością powitano ukazanie się pierwszego zeszytu *Polskiego Słownika Biograficznego* w wydaniu Polskiej Akademji Umiejętności.

Prace organizacyjne i przygotowawcze nad Słownikiem trwają od kilku lat. Stworzono komitet redakcyjny, komisję wydawniczą i komitety lokalne we wszystkich dzielnicach Polski, opracowano szczegółowy program i instrukcje oraz spisy osób, które powinny wejść do Słownika. Spisy te, opatrzone bibljograficznemi wskazówkami, obejmują dziś przeszło 100.000 kartek, a wciąż jeszcze ulegają zmianom i dopełnieniom. Według programu Słownik objąć ma około 20.000 nazwisk ludzi, którzy w dodatni czy ujemny sposób odegrali „rolę w życiu politycznem, społecznem i kulturalnem" narodu i państwa polskiego.

Zadania redakcji *Polskiego Słownika Biograficznego* są nadzwyczaj trudne. Zachowując proporcje w rozmaitych dziedzinach życia narodowego, musi ona z pośród tysięcy wybrać najważniejsze nazwiska: wodzów, mężów stanu, pisarzy, artystów, moralistów, uczonych, przemysłowców, rzemieślników, działaczy społecznych — wszystkich tych, którzy zaważyli na dziejach narodu. Musi zachować proporcję w stosunku do rozmaitych okresów historji polskiej i terytorjów Rzplitej, określić wymiar każdego życiorysu i znaleźć odpowiedniego autora.

Pierwszy zeszyt, jeden z pięciu, które się ukażą w 1935 r., jest dowodem, że redakcja potrafi przezwyciężyć wszystkie te trudności. Zeszyt ten zawiera życiorysy od B. Abdank-Abakanowicza, sławnego inżyniera zmarłego w 1900 r., do T. Andronicusa, humanisty działającego w Polsce w XVI w. Niema działu życia polskiego, któryby w tych stukilkudziesięciu życiorysach nie został poruszony, niema też zdaje się kulturalnego czytelnika polskiego, któryby w zeszycie nie znalazł dla siebie jakiejś interesującej wiadomości. Zadanie, które sobie redakcja Słownika wytknęła, brzmi: dać „zwięzłe artykuły informacyjne bez tendencji politycznej lub moralizatorskiej" — i to zadanie autorzy artykułów spełniają, bez względu na to, czy mówią o życiu wójta krakowskiego Alberta, czy o królu Aleksandrze I-ym...

Nie obyło się bez pewnych usterek, które chyba wszędzie i zawsze być muszą. Na pogląd prof. Janusza Iwaszkiewicza o Aleksandrze I wpłynęły zbyt widocznie jego studja nad ostatnim okresem życia tego cesarza: nie ze wszystkiemi tezami autora zgodzić się można. Pani Helena d'Abancourt, pisząc o Karolu d'Abancourt, mówi, że „ubóstwiany przez żołnierzy, porywał ich swą szaloną odwagą", „z małą garstką ruszył się na okopy", a „gromadka mimo chwilowego zachwiania rzuciła się za wpadającym na okopy wodzem"; lepiejby było zapewne dla powagi wydawnictwa, aby, pisząc o swoim przodku, biografka zachowywała większą niż inni oszczędność w słowach i raczej cytowała źródła. Ale to musi iść na rachunek i odpowiedzialność autora czy autorki — redakcji wydawnictwa częstokroć trudno wnikać w takie sprawy.

Stoją przed nią wielkie i trudne prace. Słownik obliczony jest na dwadzieścia tomów, po 480 stron dwuszpaltowych każdy. Zarówno poszukiwania w bibljotekach i archiwach, pisanie życiorysów i prace redakcyjne, jak i duże koszty wydawnictwa wymagają pomocy wszystkich, dla których nauka polska nie jest rzeczą obojętną.

ADAM LEWAK



XAWERY DUNIKOWSKI — Ludwik Solski

SOLSKI — ŻYWY SYMBOL I ŻYWA LEGENDA

Sześćdziesiąt lat pracy w teatrze to jest coś prawie jedynego, prawie niepowtarzalnego. To fenomen przyrodniczy, niemal cud żywotności. Jeśli życie w teatrze, życie podwójne, niesłychanie intensywne, nieoszczędne, rozrzutne, liczy się conajmniej podwójnie, to ów rozmiar czasu urasta w wiek wzniosłego obłędu, szaleńczego trudu stwarzania zwiewnej, przelotnej iluzji.

Jednocześnie te sześćdziesiąt lat pracy to cała epoka teatru polskiego. Jedno życie zagarnia łukiem olbrzymim dzieje wielu zdarzeń, przełomów, dzieje wielu ludzi, jedno życie stanowi zwornik między czasem i czasem. Staje się — symbolem i legendą.

Dziecko romantyczne jeszcze, syn powstańca listopadowego — wzrastał Solski w świadomość podczas żałobnego stycznia (ur. w 1855 r.). Ta romantyczna genealogja sięga dalej aż do sympatyj bonapartystowskich, do kultu Napoleonidów. Mówią o nim imiona Solskiego: Ludwik Napoleon. Matka Ludwika Napoleona pisała wiersze patrjotyczne i sentymentalne. Umarła lirycznie, bo wcześnie. Ojciec był urzędnikiem na prowincji, i tak na dystans, nostalgicznie kochał teatr miłością wiadomą tylko tym, którzy w niej zagubili życie, i tym, którzy nie doczekali się odwzajemnienia.

I potem Kraków Matejki i Szujskiego. Kraków Stańczykowski. W teatrze jest wtedy era Koźmiana, niedoceniona, bo się z nią nie skojarzyła wielka twórczość dramatyczna, bo ją w cień zepchnęła legenda Pawlikowskiego i legenda „Młodej Polski". Koźmian, współpracownik *Teki Stańczyka*, polityk, pierwszy dziennikarz *Czasu* i jednocześnie manjak teatru. czuły esteta i świadomy wychowawca widza dla wielkiego repertuaru — był przecież w prawie twierdzić, że aktorzy jego szkoły, „wykształciwszy się w Krakowie, mieli później, czy to pozostając na miejscu, czy przenosząc się na inne sceny narodowe, wzmocnić je i odrodzić, stać się wzorami nowoczesnej sztuki dramatycznej". W r. 1865 na pierwszym afiszu Koźmianowskiego Teatru pojawiła się Modrzejewska. W r. 1876 niejaki Mancewicz.

Był to Ludwik Solski „aspirant", jakaś skryba cesarsko-królewska, chowająca się przed ojcem— wspaniały autodydakta teatru, talent samorodny, wszystko zdobywający sam, z ominięciem całej rutyny stwarzający wszystko od nowa. Już w rok później wędrowało się po teatrzykach ogródkowych Warszawy i Królestwa, śpiewało w operze i operetce poznańskiej. Aż wreszcie ten sam chrzestny Kraków w r. 1893 stał się prawdziwym ingresem Solskiego w teatr polski i jego historję.

W tym roku objął scenę na Szczepańskim placu Tadeusz Pawlikowski, *Taddeo Magnifico*, jak go nazywa Wasylewski. Dekadent z ustroju duszy, ze stylu życia i stylu sztuki, ale i rasowy artysta, twórca teatru. Pewnie nie Craig, nie Stanisławski, nie Antoine — eklektyk, nastrojowiec, fantasta, ale przecież chyba Jan Chrzciciel „Młodej Polski", ten, który w teatrze, przez teatr prostował jej ścieżki, ten, który—pierwszy raz w Polsce — stwarzał w Polsce właśnie, teatr europejskiej miary. Wszystko w Krakowie zaczęło się od teatru. Później, w r. 1897 odbyła się przełomowa wystawa „Sztuki", wnet przyjechał w satanistycznej aureoli Przybyszewski i zawichrzył powietrze, buchnął płomieniem Wyspiański. Wnet symboliczno-nastrojowemu durowi ulegnie nawet najczystszej krwi realista „Wyczół", zacznie malować sarkofagi i chochoły. Solski wytrwał przy Pawlikowskim cały czas bujnej, burzliwej kadencji krakowskiej. Był świadkiem narodzin Wyspiańskiego — człowieka teatru. W r. 1898, Pawlikowski, podobnoć nękany przez sekretarza, wyciągnął rocznym pyłem pokrytą *Warszawiankę* i wystawił na obchodzie listopadowym w towarzystwie jakiegoś Gryfa i Adama Staszczyka, o których słych na wieki zaginął.

W *Warszawiance* grał Solski wiarusa, dobywając może najbardziej wstrząsający ton wymowy milczenia w dziejach teatru świata. W *Warszawiance* widział go ojciec, żołnierz listopadowy. Myślę, że płakał. Myślę, że syn przeczuwał ten płacz, stojąc na chwiejnych nogach, patrząc poprzez twarz Chłopickiego w twarz śmierci, której biegł naprzeciw. Gdy po latach, po zgonie Wyspiańskiego wyszedł tak, tak chwiejnie, milcząco zawisł na tej twarzy i milcząco dojrzał jej wyrok — był na sali płacz głośny.

Uczestniczył Solski, współdziałał czynnie w narodzinach dramatu modernistycznego. Był partnerem Siemaszkowej *W sieci* Kisielewskiego, w tej sieci, w której miotała się emfatycznie cała młodzież owego czasu. Był drwalem w *Zaczarowanem kole* Rydla, grał w sztukach Zapolskiej *(Kaśka Karjatyda, Żabusia, Tamten)*, Kasprowicza *(Bunt Napierskiego)*, Przybyszewskiego *(Dla szczęścia)*.

W teatrze krakowskim dokonał się też przełom w stylu, w typie gry aktorskiej. Solski wespół z Kamińskim, Wysocką, Siemaszkową był jego *magnus parens*, szedł z nimi w linji czołowej ówczesnego pokolenia aktorskiego. I tam odrazu zarysowała się zdumiewająca rozpiętość skali Solskiego. Wystąpi on jako jeden z najwspanialszych fredrystów, jeden z tego szeregu, który otwiera Żółkowski, Rapacki, który po Kamińskim, Feldmanie, Frenklu zamyka Zelwerowicz. To samo będzie z Szekspirem i Molierem. Chudogęba, który zacną panią Modrzejewską przyprawił o „kolki" ze śmiechu, i przeraźliwy w swojej manjakalności Harpagon wiodą za sobą korowód kreacyj klasycznych.

Ale jednocześnie ten sam młodzieniaszek w *Dla szczęścia* Przybyszewskiego pierwszy i — jak zaświadcza Wilhelm Feldman — „genjalnie" wciela nowe widzenie świata i człowieka. Tajemnice podświadomości, tajemnice instynktu, halucynacje sensytywów, manje, obsesje, cała ta magja niedopowiedzenia, magja nastroju, magja sugestji i hypnozy — znajdzie w Solskim kongenjalnego odtwórcę.

Tu też, u Pawlikowskiego rodzi się Solski reżyser i inscenizator. Pierwszy raz zjawia się tu postulat jednolitości stylu; to słowo: styl takiej siły nabierze u Craiga. Ruszony zostaje cokolwiek problem dekoracji; już wspólnie z Kotarbińskim do pracy nad *Kordjanem* zaprosi Solski po raz pierwszy w dziejach teatru polskiego artystę-malarza: Włodzimierza Tetmajera. W teatrze Pawlikowskiego zjawia się też — reżyserja tłumów.

Zapewne nie ze wszystkiemi metodami Solskiego dziś się zgodzimy. Zbyt wiele w nim, jako reżyserze, będzie z aktora, zbyt wielka pokusa pomnażania się, rozmnażania na wszystkich, grania za wszystkich. Ale będzie w nim i dotrwa do dziś dar nieporównany: prąd energetyczny i entuzjastyczny, który obejmuje wszystkich działających, fluid pasji, który zakaża powietrze kulis. Lucyna Kotarbińska *(Wokoło Teatru)* tak go wspomina: „Solski reżyseruje. Nie chodzi: frUwa, zda się w powietrzu, tak tylko jak on to potrafił, jak wiatr, jak błyskawica. Szybki, zwinny, energiczny, w pracy niezrównany i niedościgły".

To wspomnienie odnosi się do r. 1900, do reżyserji *Kordjana* za dyrekcji Kotarbińskiego. Rozstawszy się na rok z Pawlikowskim, grał Solski Strażnika Kamienieckiego w *Złotej Czaszce*, potem przez pracę nad *Kordjanem* wszedł w szlak pośmiertnej chwały polskiego dramatu romantycznego. Stał się jednym z inicjatorów i promotorów tej chwały. „Entuzjazm rósł z każdem zapadnięciem kurtyny" — przypominają mi się słowa ze wspomnień Kotarbińskiej i myśleć muszę o lwowskim *Kordjanie*, którego może nie byłbym widział, gdyby nie było tego pierwszego wcielenia, krakowskiej pra-premjery.

Nim Solski przyjmie, jako kontynuator Kotarbińskich, szerszy udział w tej ekshumacji dramatu romantycznego — wprzód idzie jeszcze za gwiazdą Pawlikowskiego do Lwowa (1900—5). Zjawia się tu i repertuar poetycki: *Skarb* Staffa, w którym Solski wcieli monumentalnie Skarbnika, i przenikają idee Craiga. Ale Pawlikowski nastawia się dość opornie wobec Wyspiańskiego: *Legendę* wyprowadza na scenę pod naporem zbiorowego żądania entuzjastów poety. Mocno natomiast akcentuje twórczość realistyczną. W tej atmosferze ostatecznie krzepnie talent Solskiego, rozbłyska dojrzałą pełnią w wielu rolach: Pieszychin w *Mieszczanach* i Aktor w *Na dnie* Gorkiego, Baumart w *Tkaczach* Hauptmanna.

W r. 1905, na lat ośm obejmuje Solski teatr krakowski. Jeden z bardziej długowiecznych dyrektorów, prowadzi dalej linję Kotarbińskich: po *Dziadach* inscenizowanych przez Wyspiańskiego, *Śnie srebrnym Salomei, Księdzu Marku, Nieboskiej* — wystawia *Księcia Niezłomnego, Beatrix Cenci* i *Krakusa*, chyba praprемjerę Norwida wogóle. Gdy Schiller zatrudnia się jeszcze studjami teoretycznemi, pozwala Franciszkowi Siedleckiemu w *Lilli Wenedzie* poszukiwać nowej formy, pod natchnieniem craigowskiem stwarzać próby polskiego teatru monumentalnego. Daje kilka wielkich cyklów wielkiego dramatu polskiego i obcego (Mickiewicz, Fredro, Ibsen, Szekspir i i.). Przedewszystkiem Solski, który po *Warszawiance* grą swoją ratował *Lelewela*, odtwarzał Gospodarza w *Weselu*, zakłada teatr repertuarowy Wyspiańskiego: gra go bez przerwy, wyprowadza na scenę utwory niewystawiane: *Noc listopadową, Legjon*. Nie umniejsza jego zasługi, że dziś je sobie inaczej wyobrażamy i inaczej postulujemy. Ma Solski odwagę inicjatywy repertuarowej: Rostworowski (*Judasz*), Nowaczyński (*Dymitr, Fryderyk II*) wiele, wszystko mu zawdzięczają. Wprowadza ich do teatru, kreacjami aktorskiemi przyczynia się do sukcesu. Dwie kroniki historyczne Nowaczyńskiego mają powodzenie osobnego rodzaju: ogląda je nieznany światu Lenin, pisze o nich Łunaczarski.

W ciągu tych ośmiu krakowskich lat Solski, dbając o rozmaitość i atrakcyjność repertuaru, zapewne nieraz uległ pokusie łatwizny, dając z przymusu premjery co tydzień. grzeszył przeciwko naszym wyobrażeniom o teatrze, ale utrzymał scenę krakowską na wysokiej, najwyższej w Polsce, europejskiej wyżynie. Oddał ją w r. 1913 Pawlikowskiemu, by kolejno zajmować dyrekturę jeszcze przedwojennych „Rozmaitości", potem (po Lorentowiczu) już należących do polskich władz miejskich. Od r. 1931 był dyrektorem Teatru Narodowego. Tu stworzył potężne w wyrazie kreacje realistyczne w sztukach szekspirowskich i molierowskich, w *Przeprowadzce* Rostworowskiego.

Tak Solski wobec tej chwili, która skupia się wokół niego w podziwie i hołdzie — staje jako arka między dawnemi i młodemi laty. Polski styl monumentalny, legitymujący się szeregiem wysokich osiągnięć, i jednocześnie przebijający się na powierzchnię prąd nowego realizmu — mają w Solskim swego protoplastę. W nim jednym zbiegły się zdobycze Wyspiańskiego, pierwsze próby realizacji dramatyki monumentalnej i najistotniejsze walory działalności Pawlikowskiego w zakresie realizmu. W Solskim, aktorze i reżyserze, twórcy i inicjatorze, sumuje się historja półwiecza teatru polskiego, zamykają się prioгa jego dzisiejszego rozwoju.

On jest tego teatru żywym symbolem i żywą legendą.

TYMON TERLECKI

ANKIETA O KRYTYCE TEATRALNEJ

ogłoszona przez p. Terleckiego w n-rze 10 *Pionu*, mogłaby opiewać tak: dlaczego pan tak mało, lub wcale nie pisze o reżyserji i o aktorach?

Ta kwestja była poruszana przed paru laty w *Wiadomościach Literackich*. Wtedy Jaracz wyruszył z wielkim artykułem, pomógł mu potem jakiś amator. Moje stanowisko w tej sprawie jest następujące:

1) Na reżyserji trzeba się znać, mieć materjał porównawczy i teoretyczny, znać choć parę teatrów zagranicznych, obcować z reżyserami. Ja się nie znam, wolę nie blagować. Reżyserję czuję wtedy, gdy jest zła, lub gdy się zanadto narzuca, więc też jest zła. P. Terlecki jest teatrologiem, zna się na tych sprawach, więc niech pisze, z przyjemnością czytam,—począwszy od jego sprawozdania o wystawieniu *Sprawy Dantona* Przybyszewskiej we Lwowie.

Ale mam dużo zastrzeżeń ogólnych przeciw zbytniemu rozpisywaniu się o tej stronie teatru. Czytałem trochę dziełek o reżyserji (także Tairowa, Kierżencewa). Jest tu dużo blagi, i dużo sposobności do blagi. Z reżyserami jest tak jak z poetycką awangardą. Same już swoje zamiary, swój program, biorą za pełny skutek. Nie żeby to było bez wysiłków. Owszem wysiłki są, aż zanadto widoczne. Ale—reżyserzy sami nie chodzą do teatru, nie są widzami. Tak samo jak awangardziści nie są czytelnikami. To znaczy: pierwsi fałszują siebie jako widzów, drudzy— jako czytelników. Widzą to, co chcą widzieć. Jeżeli prasa, a przez nią publiczność, jest dostatecznie obrobiona, zasnobiona, wówczas wytwarza się od sceny do widowni znany kontakt, znane „porozumienie", czyli nowa konwencja: biorę za dobrą monetę to, co mi do wierzenia podajesz; żyjemy wspólną legendą. Wrażenie jest wtedy może nawet rzetelne, estetyczne, ale i wrażenia teatralne publiczności przed 50 laty, oparte na prymitywniejszych doktrynach reżyserskich, bywały również rzetelne.

Ostatecznie bez konwencyj nie obejdzie się ani teatr, ani literatura, ani polityka, ani wogóle zbiorowe życie ludzkie. Ale—są granice. Posłać odkłamywacza za kulisy, między reżyserów. Myślę, że w Rosji, w Niemczech pojawiają się tacy odkłamywacze samorzutnie, automatycznie, bo jednak tam przychodzą ocknięcia w sam czas. U nas przyjdą one dopiero wtedy, gdy już się staną nowym snobizmem.

Aby pisać o reżyserji pewnej sztuki, trzebaby wpierw pomówić z reżyserem, a potem naocznie skontrolować plan i wykonanie. Czasem zamiar reżyserski rzuca się w oczy, wtedy za kulisy chodzić nie trzeba, ale wtedy bywa najgorzej. Recenzent, oczywiście, może być z tej samej szkoły co reżyser; wówczas „porozumienie" jest łatwe ale mało warte. Sprawy reżyserskie są mgliste, opisywać je trudno, trzeba dużo miejsca, a recenzent ma go tak niewiele—o tem p. Terlecki zapomina.

Efekty t. zw. wystawy są o wiele krótsze niż myślą reżyserzy i dekoratorzy. Pięć minut— aktorzy mówią, sztuka się rozwija, widz zapomina o wystawie. Sztuczki nie pomogą, nawet rażą. Najważniejsza jest reżyserja zespołów i gry aktorskiej. Tak, ale ta właśnie najbardziej kuleje. O tem wstyd pisać i lepiej nie pisać. Chyba raz jeden za wszystkie razy. Gdy się widzi, że innego triku reżyserskiego niema jak przenoszenie się aktorów z kanapy po lewej stronie na kanapę po drugiej stronie, lub wbieganie z widowni na scenę i napowrót, lub że różne faramuszki reżyserskie i wystawowe jakoś dziwnie żyją obok złej gry i złej deklamacji poszczególnych aktorów, i gdy się jednak widzi, że wszyscy są zadowoleni, to człowiek zaczyna wątpić i wstydzi się, że sam jeden jest niezadowolony. A gdy ten człowiek jest w dodatku recenzentem, to sobie pomyśli, że może ma bzika. I nie pisze tego, co myśli. I recenzentowi życie miłe.

2) Gra aktorska. I na tem trzeba się znać, mieć do porównania wzory zagraniczne (jeździć! a gdzie forsa, gdzie czas?) i dawne (jeszcze wtedy nie było fonografów). Owszem, czasem zdaje mi się, że się na tem znam, bez wielu wzorów. Ale nie piszę, lub jeżeli piszę, to niechętnie, i r o z m y ś l n i e zdawkowo. Z kilku przyczyn. Przedewszystkiem dlatego, że każda recenzja ujemna, lub taka: wprawdzie—ale, wpływa realnie na gażę aktora, na jego znaczenie, na karjerę nawet. A broń Boże nas recenzentów, żebyśmy przez nasze może widzimisię, chwilowy zły humor, mieli być winni stratom aktora, bo to przecież kolega. Przytem—recenzent jest tylko na jednem przedstawieniu, aktor mógł być wtedy źle usposobiony i oto klęska. Domagano się tedy słusznie, żeby recenzent wpadał na dalsze przedstawienia, kontrolował, przecież zespoły i gra przez powtarzanie ulepszają się (lub—przeciwnie). Ale na to recenzent nie ma czasu. Tak samo możnaby od niego wymagać, żeby po pewnym czasie książki drugi raz czytał, a tu przecież nowe ryczą nieprzeczytane.

Druga przyczyna. Grę aktorską trudno jest opisywać, nawet gdyby miejsca było poddostatkiem, a przeto trudno wytykać błędy i trudno utrzymać pochwały w stylu nieogólnikowym. Swego czasu p. Zawistowski napisał dobry oryginalny artykuł o tych trudnościach opisu gry aktorskiej. Póki tej gry nie łapie się na fonografy i filmy, jakże wytykać? Trzeba przecież wyraźnie pokazać: tu było źle powiedziane, lub źle zagrane, dlatego a dlatego, ma być tak a tak. I trzeba pokazać, trzeba samemu zagrać. To może i powinien robić reżyser na próbach, osobiście i swoją własną osobą, ale nie recenzent. W recenzji o książce można przytoczyć stronicę, nawet całe zdania, a tutaj? Swego czasu p. Wiktor Brumer w *Życiu Teatru* napisał długą rozprawę o grze Junoszy-Stępowskiego w *Otellu*. Przeczytałem ją z zainteresowaniem, ale ani sam opis, ani ocena nie wydały mi się trafne. Tak dalece już sam opis zależy od oceny i od kryterjów. Dwie różne rzeczy widzieliśmy obaj.

Trzecia przyczyna: absolutna bezskuteczność krytyki o aktorach, o ile chodzi o jej stronę pedagogiczną. Aktor szuka w krytyce tylko pochwał, kpi z krytyka, który go gani. Kiedy pisywałem recenzje w *Robotniku*, było wśród nich kilka dość obszernych, poświęconych grze aktorskiej. Nie usłyszałem żadnego oddźwięku, i gra pozostała ta sama. Próbowałem—nie z przekory lecz z przekonania—chwalić tych, których nie uznawano, ganić tych, których wychwalaniem zachłystywali się koledzy recenzenci. Bardzo popularne aktorki wydawały mi się trywjalne, dziwiłem się, jak można znosić błędy wymowy, gra była za mało wyrafinowana na mój smak. Ale— ciągle powtarzać jakieś takie *ceterum censeo* wbrew opinji publicznej, w dziedzinie, która mnie ostatecznie niewiele obchodzi,—lepiej się poddać. I recenzentowi życie jest miłe. Gdy się pisze o aktorkach i aktorach, tyka się tych ludzi jeszcze osobiściej niż pisarzy, przecież tamci pracują ciałem. Mogą jeszcze kiedy nabić. Bywało tak. Lub też jedna czy druga powie, że przyczyną recenzji była nieodwzajemniona miłość. Więc lepiej żyć z nimi w zgodzie, a przynajmniej w wygodzie i spokoju. Od tego są—szablony.

3) Od tego są „sztampy" recenzenckie. Trwają one do dziś i żaden recenzent bez nich się nie obejdzie. Jak grał pierwszy amant? Z temperamentem. No, bo rzeczywiście grał z temperamentem. W niejednym wypadku „sztampa" staje się prawdą. Ale wytwarzają się też nowe „sztampy". Nie takie naiwne, bardziej ukryte, Prokesch— zostaje rozproszkowany. Rzeczą krytyki dziś byłoby nie sięgać do Prokescha, lecz szukać Prokeschów—i prokeschiad—nowego gatunku.

KAROL IRZYKOWSKI

P O E Z J A

WŁADYSŁAW SEBYŁA: *Koncert egotyczny*. Warszawa 1934. Wyd. J. Mortkowicza.

Już pierwsza książka Sebyły (której sam autor nie pamięta, w każdym razie nie wymienia na przedtytułowej karcie niniejszego tomiku w liczbie swych opusów), młodzieńcza książeczka, wydana do spółki z kim innym w r. 1927, była dowodem rzetelnego talentu poetyckiego, o wybitnej i swoistej fizjognomji [1]. Rzucało się też w oczy własne dojrzenie rzeczywistości, dotknięcie jej własną ręką, nie przez watę werbalizmu i zapożyczonej frazeologji. To samo cechuje niedługą a już ważką działalność Sebyły jako

1 Por. *Przegląd Współczesny*, ze stycznia 1928 r., str. 160.



Władysław Sebyła

krytyka. Trzeba było wielkiego umiłowania prawdy i zaciętości w oporze przeciw nadętemu frazesowi fałszywych proroków sztuki nowoczesnej, z taką łatwością szantażujących snobistyczną opinję, żeby w artykule rozmiarów sporej broszurki, wykazywać słowo za słowem nonsensy, składające się na doktrynę „unizmu" pp. K. Kobro i W. Strzemińskiego[2]. Takim pozostaje Sebyła aż do ostatniego znanego mi wiersza, do potężnego *Ojcze nasz* (*Pion* z 16. III. b. r.), zbudowanego na nieulękłem spojrzeniu w oczy bezlitosnej prawdzie i przenikniętego wzgardą dla wszelkich kojących złud i „pragmatycznych" kłamstw: „przed pustką stygnę w grozie"..., „wszystkiego stworzenia strachy i nędze w żyłach moich krzyczą".

Tej samej postawy manifestacją jest znaczna część omawianej książki, mianowicie poemat, który nadaje jej tytuł, jakby dla podkreślenia, co jest dla poety najważniejsze, oraz *Trójśpiew prosty* — krótkie bezpretensjonalne, ale dla mnie tem cenniejsze ujęcie tych spraw: zagadki istnienia i okrutnej w swym bezsensie a wzniosłej „pożarem zachłannej wieczności" doli człowieczej. Narodzenie „stworzyciela siebie i świata", który „musi służbę odsłużyć, musi siebie powtórzyć, świat stworzyć, świat porzucić", „świata pożerca", nienasycenie głodny wieczności, nieukojony aż do grobu, „w nieznanem zatonięty", „odczłowieczony" — oto suggestywne w swej prostocie terminy, któremi operuje Sebyła w budowie swej syntezy poetyckiej.

W poemacie *Koncert egotyczny* — obraz zwątpień metafizycznych, porywu do prawdy, porywu pełnego szczerości, powagi, jest mniej jednolity artystycznie i czasem zawikłany w wykładzie. Refleksje i wątpliwości są podane czasem *in crudo*, tak jak się autorowi nasuwały, niezorganizowane artystycznie, choć w regularnych wierszach i z użyciem aparatu retorycznego; część utworu pisana prozą — niezdecydowanie formalne jest jakby odbiciem niedostatecznej krystalizacji kompozycji. Ale nieraz pobrzmiewają akcenty godne Norwidowych rozpraw wierszem; indziej wielki patos „przestrzeni nieobeszłych, skroś które gwiezdne wichry wieją", — patos, w którym przecież nic z pustego frazesu, żadnego aktorstwa, snobizmu mody; gdy chodzi o sprawy wieczne i decydujące, żałosnem samooszukaństwem byłaby gra ze sobą w fałszowane kości. Ta postawa poety, najistotniej religijna, tłumaczy też jego udział w *Zecie*, a również odejście od *Zetu:* abstrakcyjne rozwiązania, słowne formuły nie wystarczą zmysłowemu realizmowi jego badawczego spojrzenia.

Tę samą zmysłowość widzenia i odczuwania poetyckiego ujawnia Sebyła w zetknięciu z innym głównym tematem książki — ze światem nocy. Poemat *Młyny* i cykl nokturnów, razem cała pierwsza połowa książki, to próba poetyckiego przeniknięcia w ten świat, ujęcia go niejako absolutnie, z wyłączeniem człowieka, naruszającego jego tajemniczą jednolitość, zwierzęcą czy szatańską. Stąd aniołowie o skrzydłach nietoperza, stąd podtytuł „sonata nieludzka"; ujęcie zharmonizowane w sugestywnej fantastyce obrazowaniem, leksyką; wszystko w poddaniu „głównemu skinieniu".

Właściwie na tem, z wyjątkiem dwóch ostatnich drobnych wierszy, z których *Wiosna* bardzo piękna, wyczerpuje się tematyka książki. Zastanawiająca koncentracja zainteresowań; lecz czy odpowiada jej koncentracja ukształtowania, sprężenie liryzmu w formuły ostateczne, zastąpienie bezmiaru przeżyć skąpą kwintesencją słowną? Niestety, nie widać tego ani w samym *Koncercie egotycznym*, ani nawet w *Trójśpiewie prostym:* rozmiary *Młynów* nie tłumaczą się jakąś symboliką, spajającą ich fragmenty; dwa lub trzy z pośród nich lub z pośród *Nokturnów* mogłyby zastąpić całość, np. fragment 8-y, nokturn 2-i („Wicher płomienie gwiazd po niebie rozmiata") lub 8-y, który będzie jednym z najdoskonalszych, najwymowniej zwięzłych utworów książki po koniecznem wygładzeniu łatwych do naprawienia błędów rytmicznych (w linijkach 1-ej, 9-ej, 15-ej). Ale i w tej postaci książka Sebyły góruje całą wagą duchową jej twórcy, zarówno nad zbiorami poprawnych banalności, jak i nad niemniej banalnemi próbami pobicia rekordów oryginalności powierzchowną rewolucyjnością.

K. W. ZAWODZIŃSKI

[2] *Z klonicą na lopatologję unistyczną* (*Zet* n-ry 8 i 9 z 1932 r.).

Historja Literatury

HENRYK ŻYCZYŃSKI: *Mickiewicz w oświetleniu Odyńca.* Lublin 1934. Odbitka z t. II *Pamiętnika Lubelskiego.*

Broszura prof. Henryka Życzyńskiego o *Listach z podróży* Odyńca, a raczej o Odyńcu jako autorze *Listów z podróży*, jest tak ciekawa, niezwykła i znamienna, że powinna trafić do rąk wszystkich historyków literatury i krytyków literackich, znaleźć się we wszystkich bibljotekach seminarjów polonistycznych, być znana wszystkim studentom polonistyki. Jest ta broszura niezwykle jaskrawym wzorem pracy naukowej, w której nietylko niema ani krzty objektywizmu, lecz przeciwnie panuje już nie roznamiętnienie, lecz prawdziwa pasja,—jest pouczającym przykładem, na jakie manowce może wkroczyć historyk literatury, nie znający należycie przedmiotu, o którym mówi, i operujący połajankami jako argumentami.

Zbrodnie, popełnione przez Odyńca, jak zapewnia nas prof. Życzyński, są bardzo ciężkie:

Listy z podróży zawierają—„niepoczytalne brednie Odyńca" (str. 12), są—„mistyfikacją, zakrawającą na prawdziwą panamę literacką" (str. 10), mamy w nich—„do czynienia z prawdziwym plagjatem" (str. 14), ich analiza wystarczy — „dla kompletnego zdruzgotania Odyńca, jako fałszerza, pozbawionego wszelkich skrupułów"" (str. 21).

Stosunek Odyńca do Mickiewicza był okropny. Gdyby ktoś znał Odyńca tak jak prof. Życzyński,—„nie mógłby przypisać Odyńcowi prawdziwego przywiązania do Mickiewicza, które wyraziło się w prostem fałszerstwie" (str. 10). „Prawdziwe przywiązanie wyraziło się w prostem fałszerstwie",—może to jest prawdziwa wiadomość, ale zapewne niezbyt prosta!...

Odyniec—„nie przejął nic z jego (Mickiewicza) głębi i piękności moralnej, a nadto najczelniej go po śmierci okradał" (str. 10). Potworność czynu Odyńca nie ma usprawiedliwienia, znajdzie się jednak moment łagodzący: otóż Odyniec nietylko okradał Mickiewicza, lecz zdobywał się na bardziej skomplikowaną akcję: w pewnym wypadku, jak ustalił prof. Życzyński, Odyniec—„popełnia równocześnie dwa przestępstwa, bo okradu Eckermanna, a skradziony łup podrzuca Mickiewiczowi" (str. 21).

W tak barwny sposób mówi profesor uniwersytetu lubelskiego o utworze literackim, dając przykład objektywnej naukowej analizy.

Na czem jednak polega główna zbrodnia Odyńca, owa „panama literacka"? Na tem, że ogłosił nie autentyczne listy, pisane do swych przyjaciół, a zarazem dość bliskich krewnych, I. Chodźki i J. Korsaka, — lecz pseudo-listy, czyli utwory literackie, oparte na listach autentycznych. Tego niektórzy historycy nie mogą darować Odyńcowi, który, jak mówi prof. Życzyński,—„wprowadził w błąd wszystkich badaczy Mickiewicza, którzy na tej podstawie kreślili nieprawdziwą linję duchowego rozwoju poety..."

Otóż przedewszystkiem należy stwierdzić, że nie „wszyscy badacze Mickiewicza" zostali wprowadzeni w błąd,—tylko mniej rozgarnięci i gorzej się orjentujący w zasadach analizy estetycznej utworów literackich. A po drugie: czy literat pisze dla „badaczy", czy dla szerszych mas czytelników? *Listy z podróży* bezpośrednio się łączą z *Wspomnieniami z przeszłości*, są do nich bliźniaczo podobne, a jednak nawet „badacze" nie narzekają na *Wspomnienia.* Czy z tego należy wyciągnąć wniosek, że literatowi wolno jest spisywać swoje wspomnienia wyłącznie w formie gawędy,—bo inaczej stanie się on „fałszerzem", „plagjatorem", „złodziejem"?... I kto udzielił „badaczom" praw dyktatorskich w stosunku do literatów?...

Nad zagadnieniem mistyfikacji literackiej warto się zastanowić. Prof. Życzyński (nie on jeden, zresztą!) uważa Odyńca za przestępcę ze względu na ogłoszenie przerobionych i uzupełnionych listów. Więc żaden literat nie ma prawa ogłaszać swych listów w zmienionej formie? Wolno literatowi przerabiać swoje poezje, dramaty, powieści, wówczas „badacze" z rozkoszą zestawiają warjanty i ustalają „linję duchowego rozwoju" pisarzy,—natomiast w stosunku do własnych młodzieńczych listów, ciekawych pod względem treści lecz nieudolnych pod względem formy, literat jest skrępowany: nie może zrobić najmniejszych zmian; niewolno!—to przecież jest fałszerstwo, nikczemna mistyfikacja, panama literacka!...

Wyobraźmy sobie taką sytuację, że Odyniec wcale nie pisał żadnych listów do Chodźki i Korsaka, że nigdy nie był zagranicą, że nie znał osobiście Mickiewicza,—czy wówczas jednak, jako literat, nie miał prawa napisać utworu literackiego w formie listów? A jeżeli nie miał, to dlaczego mianowicie?

Mistyfikacja nie jest zjawiskiem karygodnem: każdy artysta—plastyk, czy poeta—często się nią posługuje jako środkiem artystycznym. Mistyfikacja nie jest fałszerstwem, choć nieraz granice pomiędzy temi zjawiskami zacierają się całkowicie. Ale czy nawet niewątpliwe fałszerstwo artystyczne zawsze jest przestępstwem?

J. Macpherson najniewątpliwiej sfałszował *Ossiana;*—czyn brzydki, ale czy ten Osjan nie wzbogacił literatury całej Europy i czy wskutek tego nie jest zjawiskiem raczej dodatniem?

Wiek XIX szczególnie lubował się w mistyfikacjach i tolerował fałszerstwa nawet w dziedzinie nauki. Hanka był wielkim uczonym, a jednak „znalazł na strychu" rękopis Królodworski; nasz Narbutt był historykiem niezbyt wielkiej miary, ale „na strychach" lub w „palących się domach" znajdował prawdziwe skarby rękopiśmienne, w których autentyczność wierzono w ciągu całego wieku.

Jeżeli tak się działo w dziedzinie nauki, czy można tak surowo osądzać Odyńca, który przecież korzystał z prawdziwych listów, a z Mickiewiczem był w bardzo bliskich stosunkach?

A przedewszystkiem, jak słusznie dowodzi prof. Życzyński (znana to rzecz!), Odyniec nie był zanadto oryginalny: poszedł śladem Eckermanna. Otóż, gdyby chodziło o konsekwencję w potępianiu autora *Listów z podróży*, należałoby stwierdzić, że Eckermann był fałszerzem, złodziejem i skończonym bandytą, który nietylko popełnił zbrodnię wobec Goethego, ale zaprowadził na manowce polskiego pisarza! O Eckermannie jednak prof. Życzyński mówi bez gniewu, — czemu tak?

Z oskarżeniem Odyńca o mistyfikację trzeba raz na zawsze skończyć. Dopóki w literaturach świata będzie się spokojnie mówiło o pieśniach Osjana, — dopóty oskarżenia pod adresem Odyńca będą brzmieć bardzo nieprzekonywająco. Ani literatów, ani czytelników nie może obchodzić gniew „badaczy", którzy się okazali ludźmi zbyt... łatwowiernymi!.. Bo przecież badacze, którzy nie byli tak naiwni, aby uważać *Listy* za dokumenty, mówią o Odyńcu całkiem spokojnie, a nawet z uznaniem.

Poważniejsze zarzuty prof. Życzyńskiego dotyczą niezrozumienia Mickiewicza przez Odyńca. Odyniec był mały, Odyniec był płytki, Odyniec pokazał Mickiewicza (tu prof. Życzyński cytuje słowa Kallenbacha) — „w szlafroku, w codziennej prozie życiowej", a od siebie później dodaje słowa całkiem sprzeczne: — „Jedyną rzeczą pozytywną *Listów* jest bałwochwalcza cześć dla poety"... Cześć dla poety w szlafroku?

Pewność, z jaką prof. Życzyński przeciwstawia się Odyńcowi pod względem znajomości Mickiewicza, jest zdumiewająca. Odyniec np. opowiada o tem, jak Mickiewicz mówił o teorji jakiegoś fizjologa dotyczącej rozwoju mózgu. Prof. Życzyński protestuje: — „Przedewszystkiem w jego relacji są nieścisłości przyrodnicze, jakichby żaden fizjolog nie popełnił. Nazwę zwierzęcia ogranicza do ssaków i w tym sensie jej używa. Jest to terminologja prostaków i analfabetów, którą z p e w n o ś c i ą (!) M i c k i e w i c z s i ę n i e p o s ł u g i w a ł".

„Z pewnością"... Niema o czem mówić. Należy bez zastrzeżeń wierzyć profesorowi.

Gdy Odyniec przytacza uwagi Mickiewicza na temat stosunku historji, jako nauki, do legendy, prof. Życzyński wzrusza ramionami: — „W takiem to naiwnem świetle wystawia Odyniec Mickiewicza, p i l n e g o u c z n i a L e l e w e l a". Znowu musimy wierzyć, że profesor ma rację, choć wiemy przecież, co i jak pilny uczeń wielu znakomitych wileńskich profesorów mówił o „szkiełkach mędrców". Mickiewicz był nietylko studentem i absolwentem uniwersytetu a później profesorem, ale i... poetą!.. O tem tak często zapominają uczeni „badacze"...

Gdy Odyniec przytacza słowa Mickiewicza o przyszłych urządzeniach, które pozwolą ludziom słuchać koncertów w domu (gramofon? radjo?), prof. Życzyński twierdzi, że Mickiewicz tego nie mówił: Odyniec — „czytał zapewne głośną wtedy powieść Juljusza Verne'a p. t. *Zamek w Karpatach* i sądził, że dobrze będzie zrobić autora *Pana Tadeusza* poprzednikiem Juljusza Verne'a".

Prof. Życzyński zna nietylko każdy krok i każde słowo Mickiewicza, ale też przeniknął myśli Odyńca.

Wiemy teraz, dlaczego Odyniec zmyślił słowa Mickiewicza o koncertach w domu. Wiemy też (musimy przecież wierzyć prof. Życzyńskiemu), że Odyniec, pisząc *Listy* — „łudził się, że buduje rzecz monumentalną"...

Czasami jednak prof. Życzyński posługuje się nietylko własnym autorytetem; wówczas najchętniej powołuje się na Władysława Mickiewicza. To już: *Roma locuta*... Jednak nietylko historycy literatury, ale wszyscy inteligentni ludzie w Polsce wiedzą doskonale, że Władysław Mickiewicz był najsurowszym cenzorem puścizny swego wielkiego ojca, że wiele dokumentów zniszczył, wiele zniekształcił, — słowem, dbał o to, żeby wiedza o Mickiewiczu nie przekraczała pewnych granic. Przeciwstawianie Odyńcowi Władysława Mickiewicza ma więc wyjątkowy posmak, niewiele mający wspólnego z poczuciem objektywizmu.

Kapitalne są oskarżenia Odyńca o „plagjat" i „kradzieże".

Plagjat nr. 1 polega na tem, że Odyniec, „któremu dawno wyleciało z pamięci" doświadczenie Mickiewicza z pierścionkami w Weimarze (prof. Życzyński doskonale się orjentuje w stanie pamięci Odyńca!), — odtworzył scenę na podstawie pamiętnika Holteina, załączając na końcu tomu urywek z tego pamiętnika.

Plagjat nr. 2. Znów w załączeniu do tomu *Listów* są urywki z listów Krasińskiego. Jest to źródło (prof. Życzyński wie o tem!), z którego czerpał Odyniec temat do zmyślonej rozmowy z Mickiewiczem o poezji.

A więc gdyby było rzeczywiście tak, jak twierdzi prof. Życzyński? Odtworzenie obrazu na podstawie jakiegoś źródła, przyswojenie czyjejś myśli z podaniem źródła — jest plagjatem. Historycy literatury, nie wyłączając prof. Życzyńskiego, często przyswajają sobie czyjeś myśli, podając źródła. Czyżby więc?...

A kradzież Odyńca polega na tem, że kradł on myśli Mickiewicza i... no i nic, bo nie podawał ich za swoje, tylko wkładał w usta Mickiewicza!... Osobliwa kradzież!...

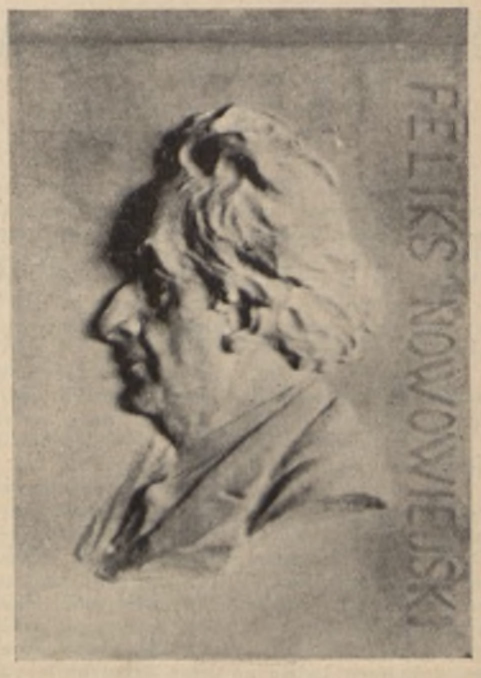
Wszystkie pioruny spadają już nie na głowę, lecz na trumnę Odyńca tylko dlatego, że pisał on o Mickiewiczu; gdyby tak pisał o Domeyce, czy Zanie, wszystko byłoby w porządku. Mickiewicz jest nietykalny. Mickiewicz jest łupem „badaczy"...

Prof. Życzyński przed kilku laty napisał rozprawę na temat *Listów*, bo miał wydać *Listy* w „Bibljotece Narodowej". Znał artykuł Cz. Jankowskiego o niewydanych listach Odyńca do rodziny, — miał wskazówki, gdzie się znajdują, — lecz nie zainteresował się niemi, choć są one niezmiernie cenne i dla poznania Odyńca niezbędne. Dziś prof. Życzyński pisze już nietylko o *Listach*, lecz o całokształcie twórczości Odyńca i twierdzi, że Odyniec, obcując z Mickiewiczem, — „nie doceniał wówczas wielkości Mickiewicza i osobą jego wcale się żywiej nie interesował" (str. 23). Słowa te ponad wszelką wątpliwość stwierdzają, że prof. Życzyński wcale nie zna utworów Odyńca, — gdyby znał chociażby tylko *Treny poety*, nie mógłby tego powiedzieć!...

Mickiewicz w oświetleniu Odyńca wygląda bądź co bądź na tytana, a komuż szkodzi, że i Odyniec pracą swoją zdobył piękny laur?

Odyniec w oświetleniu Życzyńskiego wygląda na czarny charakter w kiepskiej grze prowincjonalnego aktora, — ale z tej racji prof. Życzyński lauru sobie nie zdobędzie...

WALERJAN CHARKIEWICZ



WŁ. MARCINKOWSKI F. Nowowiejski

FELIKS NOWOWIEJSKI

W dniu 5 kwietnia b. r. odbyło się w Ministerstwie W. R. i O. P. w Warszawie uroczyste wręczenie Państwowej Nagrody Muzycznej Feliksowi Nowowiejskiemu.

Kompozytor Feliks Nowowiejski urodził się w r. 1877 w Wartemborku, powiat olsztyński, na Warmji. Studjował w Berlinie: w Konserwatorjum Sterna, Królewskiej Akademji Muzycznej, Akademickiej Szkole Mistrzowskiej przy Senacie Sztuk Pięknych (prof. dr. Max Bruch) i Uniwersytecie (estetyka, historja sztuki i literatury); w Ratysbonie: w Akademji Muzyki Kościelnej. Od roku 1902 przebywa we Francji, Belgji i Włoszech, jako laureat niemieckiej państwowej nagrody muzycznej im. Meyerbeera, t. zw. rzymskiej, a otrzymanej od Senatu Akademji Sztuk Pięknych w Berlinie, za oratorjum *Syn Marnotrawny*. Po powrocie do Niemiec uzyskuje Nowowiejski nagrodę tę po raz drugi. Później zdobywa nagrodę im. Beethovena za uwerturę *Swaty Polskie*, oraz I nagrodę na międzynarodowym konkursie, rozpisanym przez Procure Générale de Musique Religieuse w Arras-Paryż, za utwór organowy—*Méditation en Mi Majeur*. W Berlinie prowadzi kurs kontrapunktu i kompozycji, oraz dyryguje koncertami symfonicznemi. Od r. 1909—14 pracuje jako dyrektor Towarzystwa Muzycznego w Krakowie, kierując kulturą symfoniczną miasta. Od r. 1919 uczy jako profesor Państwowego Konserwatorjum Muzycznego w Poznaniu. Po ustąpieniu z tej uczelni zajmuje się laureat wyłącznie twórczością muzyczną. W r. 1931 The Organ Music Society w Londynie nadaje kompozytorowi członkostwo honorowe w uznaniu walorów dziewięciu symfonij organowych Nowowiejskiego. Oratorja Nowowiejskiego obiegły dotąd 150 miast Europy i Ameryki, m. i. Amsterdam, Roterdam, Hagę, Wiedeń, Budapeszt, Berlin, Lipsk, Drezno, Hamburg, Zurych, Berno, Osjak, Belgrad, Bratysławę, Rygę, Dorpat, Baltimore, San-Francisco, Filadelfję, Toronto, Boston, Cincinnati, St. Louis, Indianapolis, New York i t. d. W New Yorku Nowowiejski osobiście swem oratorjum dyrygował w Filharmonji Carnegie-Hall. Do najnowszych, należy wykonanie oratoryjne w katedrze koronacyjnej w Budapeszcie i w Helsingforsie. Od r. 1931 dyryguje Nowowiejski szeregiem koncertów miejskiej orkiestry symfonicznej w Teatrze Wielkim w Poznaniu. W r. 1935 papież Pius XI, w uznaniu wartości muzyki religijnej Nowowiejskiego, mianował go swym szambelanem.

Twórczość muzyczna laureata rozwija się w najrozmaitszych formach, przedewszystkiem w zakresie operowym, baletowym, symfonicznym, oratoryjnym, organowym i wokalnym (solowym i chóralnym). Do najważniejszych dzieł należą: opera *Legenda Bałtyku*, symfonja *H-moll* na orkiestrę, fantazja na temat Pergolesego (symfoniczna), *Treny* i trzy *Ballady* na fortepian, *Wizja* i *Legenda* na skrzypce, oratorja: *Syn Marnotrawny, Quo Vadis?, Znalezienie św. Krzyża*, oratorjum świeckie na chór męski, sola, orkiestrę i organy, *Kościuszko*, a także Psalm 136 *Ojczyzna*.

Okresem działalności muzycznej, decydującym przy przyznawaniu Państwowej Nagrody Muzycznej, było ostatnich 5 lat, w ciągu których Nowowiejski uprawiał głównie twórczość muzyczną i kapelmistrzostwo. Z licznych dzieł, w tym okresie skomponowanych, najważniejsze są: *Beatrice*, poemat symfoniczny podług idej *Boskiej Komedji* Dantego, balet-opera *Tatry*, balet *Polskie Wesele*, dziewięć symfonij organowych, pięć mszy liturgicznych i szereg motetów. W szkicach znajdują się: opera *Ondraszek* i opera buffa *Kaszuby*.

N.

O ŻYCIU I TWÓRCZOŚCI WŁ. ST. REYMONTA.

Celem uczczenia 10-tej rocznicy zgonu Wł. St. Reymonta, laureata nagrody Nobla, wyznaczyła Wdowa jako pierwszą nagrodę zł. 2.000.—, a Zakład Narodowy im. Ossolińskich jako drugą nagrodę zł. 1.000.—, za najlepsze prace o życiu i całokształcie twórczości Wł. St. Reymonta.

Prace dotychczas nieogłoszone, nie przekraczające 15 arkuszy druku formatu naukowego (63×95), składane być mają pod adresem: Zakład Narodowy im. Ossolińskich we Lwowie na ręce Dyr. D-ra L. Bernackiego, w terminie ostatecznym do 1-go maja 1936 r., pod godłem, z kopertą zaklejoną, która zawierać ma imię, nazwisko i dokładny adres autora pracy.

KRONIKA

CZY MOŻNA JEŹDZIĆ ROWEREM PO GANKACH?

W centralnej Polsce byłoby to trudno, na kresach zachodnich możliwe, ale niedopuszczalne. W obliczu zbliżającej się wiosny wre wszędzie praca w ogródkach działkowych, któremi Poznań jest ze wszech stron otoczony (widać to z okien samolotu). Otóż w każdym takim ogródku wita cię u wejścia ostrzeżenie: „jazda rowerami po gankach wzbroniona“.

Ujrzawszy to Polak wschodni, żachnie się odrazu z indygnacji. I w swem poczuciu językowem słusznie uzna ów „ganek“ za okropny i niedopuszczalny germanizm. Ganek bowiem w niemieckim również „ścieżkę“ znaczy.

Nie należy jednak kwapić się z kondemnatą. Sprawa ma zasięg nieco szerszy, a wyrok potępiający objąłby całą nieledwie staropolszczyznę. Od Rejów i Kochanowskich poczynając, aż po teatrum warszawskie XVIII wieku roiło się tam od przeróżnych „ganków“. Były więc ganki okrętowe i podkopowe w twierdzy, były ganki czyli korytarze i podziemia, „ganki wzgórę wywiedzione, z których ludzie na jakie krotochwile patrzą“, były wreszcie szpalery i aleje, a od dawnych czasów „ganeczki w ogródkach między grządeczkami“.

Gdy kiedyś obaczy się w druku Słownik Staropolski Jana Łosia — dowiemy się o zasięgu wyrazu na obszarze językowym polszczyzny. Narazie wiadomo, że zaswojony w województwach zachodnich, w gwarze ludowej obejmuje również Kaliskie.

Kogo ten wyraz bardzo irytuje, niechaj zważy, że ozdobiła się „ganeczkiem“ jedna z najpiękniejszych pieśni miłosnych na Śląsku, w której kochankowie rozmawiają:

Ona: Nieszczęśliwy ten goneczek, Jasieńku mój!
Co my po nim chodzowali, kochanku mój!
On: Nie trza było po goneczku chodzować,
kochaneczko moja!
Jeno sobie trzeba było statkować.

STANISŁAW WASYLEWSKI

*

KOŁO MIŁOŚNIKÓW HISTORJI, LITERATURY I SZTUKI W BIAŁYMSTOKU — TRZECI ROK PRACY.

Białostockie Koło Miłośników Historji, Literatury i Sztuki zamknęło w grudniu 1934 trzeci rok swej pracy, zaznaczony walnemi osiągnięciami w dziedzinie organizowania umysłowego i artystycznego życia środowiska. Skromnie zapoczątkowane przed trzema laty, coraz to bardziej rozprzestrzenia się i uaktywnia, obejmując szeroki zasiąg oddziaływań zarówno wszerz, przez wciągnięcie w orbitę swych prac licznego zastępu myślącej inteligencji (około 100 członków), jak i wgłąb, przez stałą troskę o poziom organizowanych wieczorów dyskusyjnych; ponadto podjęto w ostatnim roku nowe zagadnienia: wydawnictwa i opiekę nad zabytkami.

Magna pars tego rozwoju i wzrostu Koła przypada właśnie na okres sprawozdawczy i świadczy znakomicie, że tego rodzaju placówki, dające możność kontaktu z zagadnieniami wiedzy i sztuki inteligencji, wyrwanej z ośrodków uniwersyteckich, pozbawionej źródeł, skąd czerpaćby mogła szersze wartości kulturalne, są wyrazem niewątpliwych i pilnych potrzeb.

Dorobek pracy Koła w ostatnim roku w ogólnych zarysach przedstawia się następująco: Zarząd Koła zorganizował w tym czasie 21 wieczorów na tematy literackie, artystyczne i społeczne. Z ważniejszych zagadnień, którym wieczory te były poświęcone, wymienić należy: odczyt prof. T. Zielińskiego n. t. *Religja i sztuka w świecie antycznym*, uroczysty wieczór ku uczczeniu stulecia *Pana Tadeusza* z odczytem prof. St. Pigonia p. t. *Słońce nad Soplicowem* i recytacjami Marjusza Maszyńskiego, wieczór autorski Emila Zegadłowicza, odczyt prof. Skoczylasa o sztuce w Sowietach, odczyt dyr. Paprockiego n. t. *Problemy narodowościowe na Wschodzie Rzeczypospolitej* oraz red. Hertza *Ewolucja partji politycznej*. Na podkreślenie zasługują wieczory, poświęcone pracom miejscowych działaczy kulturalnych i społecznych. Wymienić tu należy przedewszystkiem odczyty: A. Rączaszka p. t. *Rola inteligencji w tworzeniu kultury regjonalnej*, J. Glinki p. t. *Rola kulturalna i polityczna Białegostoku w wieku XVII*, J. Nowaka n. t. *Ideowe podstawy szkoły powszechnej*.

Ponadto Koło przeprowadzało dość skuteczną akcję w zakresie popularyzacji literatury. Staraniem Koła urządzono poranek Zegadłowicza dla młodzieży starszych klas szkół średnich, poranek mickiewiczowski w wykonaniu artystów „Reduty“ i przedstawienie popularnej sztuki Rapackiego *Ja tu rządzę* w wykonaniu amatorskiego zespołu T-wa „Harmonja“ dla młodzieży pracującej: junaków z Ochotniczego Ośrodka Pracy, członków „Strzelca“, „Legjonu Młodych“ i „Organizacji Młodzieży Pracującej“.

Z inicjatywy Koła powołane zostały do życia dwie placówki społeczne: T-wo Polsko-Jugosłowiańskie (w związku z odczytem p. posła J. Walewskiego o wycieczce parlamentarzystów polskich do Jugosławji) i komitet organizacyjny Zarządu Okręgowego Ligi Morskiej i Kolonjalnej.

Koło współdziałało w przeprowadzeniu w Białymstoku „Tygodnia Książki Polskiej“ i w urządzeniu wystawy książki w sali reprezentacyjnej Urzędu Wojewódzkiego. Nakładem Koła wydano w 4 tysiącach egzemplarzy pocztówki artystyczne według prac graficznych art.-mal. Czesława Sadowskiego, przedstawiające fragmenty architektury zabytkowej Białegostoku. Wreszcie Zarząd Koła udzielił subsydjum na wydanie pracy Białostoczanina R. Wroczyńskiego p. t. *Idee dramatów Aleksandra Świętochowskiego na tle pozytywizmu warszawskiego*.

Poważną pracę prowadziła sekcja opieki nad zabytkami, współdziałając w akcji konserwatorskiej i w rekonstrukcji b. pałacu Branickich i innych zabytków.

Z momentów organizacyjnych ważnem jest przekazanie Kołu części majątku zlikwidowanego T-wa „Lechja“ oraz przyznanie przez Wydział Kultury i Sztuki Ministerstwa W. R. i O. P. subsydjum w wysokości zł. 300.—. Wobec przejęcia majątku „Lechji“ otwiera się możliwość wydawania prac historycznych, dotyczących przeszłości białostoczczyzny, co powinno zachęcić badaczy do podejmowania tematów, związanych z tym regjonem.

Obrót finansowy Koła w ciągu roku sprawozdawczego wynosił zł. 5.397.85.— Saldo na rok następny — 2.702.26 zł.

Tak się w ogólnych rzutach przedstawia dorobek pracy Koła Miłośników Historji, Literatury i Sztuki w Białymstoku w r. 1934. Należy podkreślić, że Koło w ciągu pionierskiej trzyletniej pracy na terenie Białegostoku bardzo poważną zajęło pozycję w umysłowem życiu miasta. Swoje podstawowe założenie: dostarczania inteligencji miejscowej wartości kulturalnych zzewnątrz i ujawniania ukrytych wartości lokalnych — spełniło Koło w roku sprawozdawczym dobrze. Zasługa to głównie aktywnego Zarządu Koła, a w szczególności zasłużonego jego prezesa Antoniego Rączaszka.

RYSZARD WROCZYŃSKI

*

LITERACI WILEŃSCY OTRZYMALI SATYSFAKCJĘ

Związek Literatów w Wilnie wytworzył od lat na swoim terenie ożywiony ruch kulturalny, którego dorobek (choćby w postaci „Śród Literackich“) znany jest dobrze w całej Polsce. Przeciwko tej instytucji i ruchliwej grupie pisarzy wileńskich z prezesem Związku Witoldem Hulewiczem na czele rozpętała się na łamach gazety *Słowo* ubiegłej wiosny kilkumiesięczna zaciekła kampanja. *Pion* zamieścił w swoim czasie szereg informacyj o przebiegu tej walki.

W tych dniach wielka afera wileńska znalazła zakończenie w dwóch wyrokach Sądu Apelacyjnego w Wilnie. P. Hulewicz mianowicie wniósł w lecie ubiegłego roku skargę o zniesławienie przeciw redaktorowi *Słowa*; obecnie Sąd Apelacyjny skazał redaktora odpowiedzialnego tego pisma na 2 miesiące aresztu i sto złotych grzywny, z ogłoszeniem wyroku w trzech gazetach w Wilnie.

Drugi wyrok zapadł w sprawie, w której oskarżycielem był redaktor *Słowa* poseł Stanisław Mackiewicz.

Gdy w r. ub. *Słowo* zaczęło zwalczać p. Hulewicza zapomocą systematycznych, przez wiele miesięcy umieszczanych artykułów, notatek i karykatur, w wyniku sprawy honorowej skazany został przez sąd honorowy karykaturzysta *Słowa* p. F. Dangel za oszczerstwo. Red. Mackiewicz zaatakował wyrok sądu honorowego i opublikował opinję znanych literatów warszawskich, którzy trzy pokazane im przez p. Mackiewicza rysunki uznali za nieobraźliwe. Zareagował na to Związek Literatów w osobach pp. Dobaczewskiej, Arcimowicza, Bujnickiego i Łopalewskiego listem otwartym, w którym stwierdził, że nie za trzy karykatury potępił sąd honorowy p. Dangla, ale za znacznie większą ich ilość (było ich 24) i za charakter całej kampanji. W liście otwartym zarząd Związku Literatów stwierdził, że red. Mackiewicz „wykrętnie wprowadził w błąd opinję publiczną“. Czując się tym zwrotem dotknięty, poseł Mackiewicz oskarżył trzech członków Zarządu Zw. Lit. o zniesławienie (wyłączając z niewiadomych przyczyn wiceprezeskę p. Dobaczewską, również na liście podpisaną).

I w tym wypadku Sąd Apelacyjny stanął po stronie przedstawicieli atakowanej instytucji literackiej i wszystkich trzech oskarżonych całkowicie uniewinnił.

*

DZIEDZICZNE GOSPODARSTWA CHŁOPSKIE W NIEMCZECH

Prawo z 13 września 1933 r. o tworzeniu stanu żywicieli Rzeszy miało na celu jednolitą regulację wytwórczości, zbytu i cen produktów rolniczych. Prawo o gospodarstwach dziedzicznych z 2 października 1933 r. zabezpiecza je przed rozdrobnieniem, zmierza do stabilizacji zdrowej drobnej własności ziemskiej i do zachowania chłopstwa jako „źródła krwi“ *(Blutquell)* narodu niemieckiego. Chłopstwo ma zostać „prastanem i fundamentem narodu“.

Organizacja targów ma być tego rodzaju, żeby chłopów uniezależnić od fluktuacji cen, a gospodarstwo ich wogóle wyzwolić z gospodarki kapitalistycznej. Według prawa gospodarstwo nie może mieć ponad 125 ha i nie mniej, jak rola samowystarczalna. „Rolą samowystarczalną“ jest ilość ziemi konieczna do wyżywienia jednej rodziny niezależnie od targu i ogólnego położenia ekonomicznego.

W rachubę wchodzi 845000 gospodarstw chłopskich o powierzchni 17.2 milj. ha czyli 42 proc. powierzchni wszystkich razem wziętych majątków rolnych i leśnych. Majątki większe ponad 125 ha zajmują 15 mil. ha, mniejsze od minimalnej roli samowystarczalnej 7 i pół ha — jeszcze 8 mil. ha. Na gospodarstwach dziedzicznych osiadło 5.100.000 osób.

Dane powyższe czerpiemy z czasopisma *Der Zeitspiegel*. Jest to dwutygodnik, wydawany przez pisarzy narodowo-socjalistycznych „dla kształcenia politycznego“. Kierownictwo spoczywa w rękach dr. Waltera Gehla i dr. Jana Strunza.

Z załączonej do artykułu mapki wynika, że Hitler najhojniej uposażył w gospodarstwa dziedziczne Bawarję, ojczyznę ruchu narodowo-socjalistycznego. Wypada tam 40 lub więcej gospodarstw na każdych 1000 ha. Wirtembergja, Saksonja i cały Śląsk niemiecki liczą ich po 30 — 39 na 1000 ha. Najmniej powstało ich w Mecklenburgu i na Pomorzu, bo poniżej 24 na 1000 ha. Bliżej obchodzące nas Brandenburg z wyjątkiem pogranicza polskiego i Prusy Wschodnie mają po 20—24 gospodarstw dziedzicznych na takiej samej przestrzeni. Z państw sąsiednich najmocniej są obstawione granice Austrji, Czechosłowacji, a z Polski pogranicze śląskie i wielkopolskie.

Idea chłopstwa jako „źródła krwi i fundamentu narodu“ przeniknięta jest duchem rasizmu. Jednakże uderza wątłość owej podstawy, bo czyż 5,1 mil. ludzi, chociażby rasowo czystych i fizycznie najzdrowszych, może stać się rezerwą sił regeneracyjnych dla masy 65.3 mil. obywateli, z których prawie 20 mil. żyje w atmosferze wielkich miast, liczących ponad 100.000 mieszkańców?

K. W.

Odpowiedzi Redakcji

S. W. Warszawa: Utworów o Warszawie nie wydrukujemy

J. H. Dzisna: Z wierszy nie skorzystamy.

J. P.: „Warszawskiej Wiosny“, ani „Maj: Fabjanki“ nie pomieścimy.

A. K. Leszno: Wiersze nie pójdą do druku.

„Apolin“: Dziękujemy, nie dla *Pionu*.

Z. G. Kraśnik: Możemy odesłać.

H. H.: „Sztuczne oczy“—do zwrotu.

Wigdis: Nie wydrukujemy.

KWS: Nie wydrukujemy.

P. H.: Ocen nie podajemy; nie skorzystamy.

W. S.: Wierszyk na cześć Pana Marszałka—do odebrania.

F. L. Kraków: Dziękujemy za miłe słowa; nie pomieścimy.

W. Sz. Kraków: Rozwlekłe, nie dla nas.

A-z: Nie nadaje się do druku w *Pionie*.

B. D.: „Niepowrotne“, „Niecodzienne“ i inne—do zwrotu.

M. A.-J.: Dziękujemy, nie skorzystamy.

„Ala“: Nie wydrukujemy.

CO DAJE NAM POŻYCZKA INWESTYCYJNA?

Z pojęciem pożyczki wiąże się najczęściej w naszem społeczeństwie konieczność dokonania wydatku. W rozumieniu niejednego obywatela subskrybować pożyczkę—to znaczy rozstać się z pewną kwotą pieniędzy. A że pieniędzy wszyscy zwykle mamy mało—przeto nie jest łatwo rozstać się z niemi.

Tego rodzaju pogląd na pożyczkę nie jest słuszny. Deklarując pewną kwotę na pożyczkę państwową nietylko d a j e m y pieniądze, ale wzamian coś u z y s k u j e m y. To, co uzyskujemy—jest papierem, zawierającym pod tytułem „Rzeczpospolita Polska“ zobowiązanie Skarbu Państwa do zwrotu pożyczonych pieniędzy. Instytucja takiego papieru, nazywanego obligacją pożyczki, nie jest jeszcze w Polsce dostatecznie zrozumiana i doceniona.

Zagranicą, we Francji, w Ameryce, we Włoszech, w Szwajcarji, czy w innem zamożniejszem państwie niema prawie obywatela, któryby nie miał jakichś papierów procentowych, obligacyj, czy akcyj przedsiębiorstw, przynoszących mu dochód w formie wypłacanych na podstawie takiego papieru procentów czy dywidendy. Bo papiery te są jedną z form lokaty naszych oszczędności. Kupując pożyczkę l o k u j e m y nasze pieniądze. Z tej lokaty uzyskujemy w ściśle dla danego papieru określonych terminach, określone procenty. Im większy kapitał ulokujemy—tem większe kwoty otrzymujemy z tytułu tych procentów. Zagranicą są ludzie, którzy żyją tylko z tych procentów, otrzymywanych od ulokowanych oszczędności w papierach procentowych lub w bankach.

W Polsce zjawiska takie należą do rzadkości. Ale przecież musimy doganiać zachód Europy. Musimy zarabiać i oszczędzać, gdyż dopiero posiadanie przez człowieka pewnej zaoszczędzonej rezerwy finansowej daje mu spokój duchowy, pozwala mu raźniej spoglądać w przyszłość. Dlatego też, kto z a r a b i a, ten powinien o s z c z ę d z a ć. Kto zaś oszczędza—ten musi szukać racjonalnej formy lokaty tych oszczędności. A wtedy nie można zapominać o papierach procentowych, jako o jednej z form tej lokaty.

3% Premjowa Pożyczka Inwestycyjna, którą subskrybujemy od 10 kwietnia, jest niewątpliwie takim papierem, przeznaczonym dla lokowania oszczędności. Jest to papier na okaziciela, to znaczy, że każdej chwili może być sprzedany, gdy jego posiadacz znajdzie się w kłopotach finansowych. Tem właśnie papier ten różni się od Pożyczki Narodowej, będącej papierem imiennym, przy którego sprzedaży trzeba uzyskać specjalne zezwolenie.

Niewątpliwie trudność w zbyciu Pożyczki Narodowej była dużą niedogodnością. Przy okazji rozpisania obecnej pożyczki inwestycyjnej postanowiono tę niedogodność usunąć, dając możność zmiany Pożyczki Narodowej na pożyczkę Inwestycyjną. Każdy, kto zadeklaruje pewną kwotę na pożyczkę inwestycyjną, może połowę tej kwoty wpłacić w obligacjach Pożyczki Narodowej i w ten sposób uzyskać nowy papier, który nie będzie już podlegać ograniczeniom w jego sprzedaży.

Nowe te obligacje pożyczki inwestycyjnej przynosić będą 3% rocznie od każdej 100-złotowej obligacji. Procent ten jest niższy od tego, jaki daje Pożyczka Narodowa. Wzamian jednak posiadacz nowej pożyczki inwestycyjnej będzie brać udział w losowaniach premij, które odbywać się będą trzy razy do roku. Ilość premij wynosi 3.200, przyczem przewidziane są, jako największe, 2 premje po pół miljona i jedna w wysokości 200 tysięcy na każde 100 miljonów pożyczki. Pozatem wprowadzono specjalne premje w razie wylosowania obligacji do umorzenia. Wobec takiego wylosowania Państwo płacić będzie 120 zł. za każdą 100-złotową obligację, a w ostatnich latach trwania pożyczki—130 złotych .

W ten sposób 3% Premjowa Pożyczka Inwestycyjna łączy niewątpliwie zalety papieru oszczędnościowego z tak popularnym u nas momentem gry. Wszystkie obligacje pożyczki biorą udział w losowaniach. Jeśli los się uśmiechnie—posiadacz Pożyczki Inwestycyjnej może zdobyć fortunę.

Ale papier ten ma i inne, niemniej ważne zalety. Oto uzyskane z subskrypcji Pożyczki Inwestycyjnej pieniądze pójdą całkowicie na budowę w Polsce dróg, mostów, na regulację rzek i zabezpieczenie pól i osiedli ludzkich przed powodzią. To nietylko sprawa podniesienia kraju na wyższy poziom cywilizacji i zamożności, lecz również sprawa zatrudnienia licznych rzesz bezrobotnych.

Stojąc więc wobec subskrypcji Pożyczki Inwestycyjnej nie można myśleć tylko o tem, że trzeba będzie wydać pieniądze. Należy również mieć na uwadze to, co się wzamian otrzyma. A to, co się otrzyma—to jest korzyść nietylko dla subskrybenta, lecz również dla całego kraju.

J.

REDAKCJA: Warszawa, Aleja Róż 2, telefon 9.24-00; czynna w poniedziałki, środy i piątki od godziny 19 do 20. Rękopisów nadesłanych nie zwraca się.
ADMINISTRACJA: Warszawa, Aleja Róż 2, tel. 9.91-08; czynna codziennie. Prenumerata w kraju: mies. 2 zł., kwart. 5 zł.; zagranicą: mies. 3 zł., kwart. 8 zł.
Ogłoszenia: za wiersz 1 mm. szerokości 1 szpalty — 60 groszy za tekstem; 80 groszy w tekście. Konto P. K. O. Nr. 18.590.

Redaktor naczelny: **WŁODZIMIERZ ANTONIEWICZ** Wydawca: za Towarzystwo Kultury i Oświaty **JAN KASIŃSKI**

Drukarnia Współczesna, Sp. z o. o., Warszawa, Szpitalna 10.